



ARCHIWUM
LEGIONÓW

i N. K. N.

Nr 983



CAŁE DŁY LEGIONÓW MIĘDZY SOBĄ

— Twardowski —

GAWĘDY LEGUNÓW MIĘDZY SOBĄ



NAKŁADEM WYDAWNICTWA „LEGUNY MIĘDZY SOBĄ”
WARSZAWA, MARJENSZTADT 20, TEL. 534-50.
ZA KOMITET REDAKCYJNY: LEON MIGUŁA.

Perypetje legunowe i... inne przy uzyskiwaniu
materiałów od p. p. b. legunów dla „Gawęd Legu-
nów między sobą”.

ZAMIAST WSTĘPU — RAPORT.

Zaczynam od początku.

W rozmowie z jednym z panów generałów poruszyliśmy temat przejawów naszego życia z czasów służby w Brygadzie. Zwierzaaliśmy się z różnych przeżyć, opowiadaliśmy sobie różne naonczas aktualja a zwłaszcza epizody z życia Komendanta, które ja miałem możliwość widzieć i podpatrzeć w Brygadzie, jako że zostałem przydzielony już na początku 1914 roku w Krakowie w charakterze... szofera do Sztabu I Brygady, gdyż jako student z drugiego semestru techniki w Leoben, miałem ku temu kwalifikacje. W końcu naszej gawędy doszliśmy do konkluzji, że trzeba coś zrobić, ażeby te wszystkie historie i historyjki nie poszły w zapomnienie. Dzisiaj żyją one jeszcze w naszych wspomnieniach, ale co zostanie potem, gdy nas już nie będzie? Otóż wtedy została zapoczątkowana myśl utrwalenia rzeczy tych na piśmie.

Gawędy zapoczątkowałem napisaniem do nich kilkunastu epizodów z czasów mej służby w Strzelcu, a następnie w Brygadzie.

Dziś Gawędy zapowiadają się, jako zbiórka pierwszej kadrowki, wyruszającej stąd, z Warszawy na najdalsze kresy Rzeczypospolitej, jak również i do środowisk skupień legunów zagranicą; poniesie ona tę myśl, że żyjemy, że pamiętamy o sobie, o wspólnych dolach i niedolach, przeżywanych w Legunach, i że nadal Legun Legunowi jest bratem!

Dnia 29.V.1929 r. Minister Spraw Wewnętrznych *General Składkowski* przyjął mnie na dziedzińcu gmachu Ministerstwa. Spieszył z żoną i sekretarzem, p. *Stawickim*, (który stale twierdzi, że p. General zajęty).

Panie generale, chciałem pana generała prosić o skreślenie dla Gawęd Legunów Między Sobą, paru słów z pana przeżyć w Legunach.

— Jestem bardzo zajęty, ale o co to idzie?

Wręczam prospekt, duży druk w formie listu. Generał czyta: hm, dobrze, poświęcę ze dwie godziny czasu, bo to dla legunów. Jak nie będę ministrem, to napiszę więcej.

Cześć!

Cześć.

Dnia 29.V Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, godzi. 17. Dyrektor Departamentu *Stamirowski*. Sekretarka melduje, wraca i...:

Pan dyrektor jest zajęty. Konferencja.

— Nic nie szkodzi, zaczekam.

Po upływie pewnego czasu, pan dyrektor mnie przyjmuje.

— Panie dyrektorze, czy mogę pana prosić o napisanie czegoś stosownie do treści wręzonego prospektu?

— Cieszy mnie, że powstała taka myśl. Dobrze, napiszę w przeciągu 2—3 tygodni. Co do tematu, to proszę porozumieć się ze mną telefonicznie i... cześć. Uciekam, bo jestem głodny. Od rana w biurze.

Dnia 29.V. Redakcja „Głosu Prawdy“. Godz. 22. b. Minister Poczt i Tel. p. pułk. *Miedziński Bogusław*. Zastaję go przy wyłączonej pracy redakcyjnej.

— Dobrze, dobrze, musi się coś napisać, i chętnie napiszę.

— Bardzo byłbym panu ministrowi wdzięczny, tembardziej, że znam jego cięte pióro!

— Dobrze, napiszę wam, jednak dopiero z końcem czerwca. Bardzo jestem zajęty, jednak nie zapomnę.

Dnia 30.V. Komisarjat Rządu. Naczelnik Wydziału Bezpieczeństwa, *Lisowski*.

A to jest rzeczywiście pomysł, powinno się już było dawno o tem pomyśleć. Ja chętnie wam skreślę parę moich przeżyć. Zwraca uwagę na odcień pisanych rzeczy z punktu widzenia politycznego. Całą duszą oddany.

— Serdecznie dziękuję panu naczelnikowi.

P. *Pułkownik Koc*. Dobrze napiszę, bo to dla Legunów.

Posel Tomaszkiwicz Leopold.

— Dobrze, napiszę, ale po paru dniach dopiero; jestem przemęczony. Dajcie odpocząć do 1. lipca. Nie potrzebuje mi tego dwa razy powtarzać, sam widzę po jego wyglądzie! — Cześć

Lasota Wacław, dziennikarz.

— Deklaruję napisanie trzech epizodów z czasów swej służby w Legunach.

Mjr. Kulig-Lang.

— Dobrze, ja wam napiszę morowe rzeczy i postaram się o materjały do Gawęd od innych.

Kpt. *Kosowski*.

— Napiszę coś z przeżyć w 1-ym pułku artylerji leg., a może coś jeszcze innego?

Gliński Józef, członek Gł. Zarządu Związku Leg. — Doskonale, obmyślę i napiszę.

Hirszel Stanisław

— Napiszę coś z przeżyć relutona.

Kpt. *Minkiewicz*. — Napiszę z przeżyć pułkowych.

Mączka Teofil. Dobrze skreślę coś ze swoich przeżyć.

Por. *Brzochowski Kazimierz*.

— Możecie umieścić anegdoty o Berbeckim, które wam opowiem. Przyślę oprócz tego parę piosenek legionowych.

Redaktor *Wojtuś Stpicyński*.

— Dobrze, napiszę, chociaż, widzicie po moim wyglądzie, że jestem cierpiący. Czuję się jednak lepiej. Legunom zawsze oddany. Chętnie napiszę do *Gawęd*.

Dnia 3.V. Pułk. *Maleszewski*, b. legun, obecnie Komendant Policji Państwowej.

— Pan w sprawie *Gawęd Legionowych*? — Widzi pan, z trudnością mi to przyjdzie, bo jestem bardzo zajęty, a po drugie stan mego zdrowia nie jest świetny. Czy to pilne? Jak dużo czasu mamy?

— Nie chciałbym pana komendanta, że się tak wyrażę monitować! — Nie, ja nie jestem do monitowania.

— Przepraszam, źle wyraziłem myśl.

— Chciał pan powiedzieć: przypominać? — Tak.

— No, dobrze, a jaki termin??

Mniej więcej koniec czerwca, początek lipca b. r. Chcielibyśmy wydać „*Gawędy*” na Zjazd b. r.

No, to dobrze, do tego czasu coś napiszę. Temat dowolny? Tak, no to około lipca, dobrze? Dziękuję.

Dnia 4.VI. Mjr. *Lepiarz* w Komendzie Strzelca. Dobrze, może coś napiszę.

Poleca umieścić w rozkazie Szt. Kom. Strzeleckiej wzmiankę o „*Gawędach*” z apelem, by były leguny pisały.

Gen. *Tessaro*, d-ca K. O. P. Adjutant por. Hajnisz z polecenia pana generała przekazuje sprawę *Gawęd Legunów* do rozpatrzenia p. kpt. Boryczce. Odezwę umieścić w rozkazie K. O. P. Nr. 50 z dn.

Dnia 7.VI. p. gen. *Rydz-Śmigły*. G. I. S. Zb. Komunikuje z rozkazu p. generała adjutant por. Mańkowski:

Pan Generał obecnie jest na konferencji, która nie wiem jak

długo potrwa? Polecił mi panu zakomunikować, że do Gawęd napisze. Odezwe wręczyłem.

Moja praca została uwieńczona pomyślnym skutkiem, bo pan generał napisze, co przy jego nawale pracy jest prawdziwym poświęceniem.

Dnia 7.VI. Gen. Insp. Sił Zbr. p. gen. *Burhardt-Bukacki*. Melduje mnie rotm. Dowgiałło (godz. 12).

Pan generał przyjmuje do wiadomości myśl wydania Gawęd Legunów. Częstoje papierosem i... gawędzimy na temat Gawęd przeszło pół godziny, poczem otrzymuję formalne przyrzeczenie, że pan generał napisze. Napisze, pomimo, że do połowy września będzie wciąż w rozjazdach. Zatem pisać będzie niejako na „postoju“ w terminie do początku lipca r. b.

P. Gen. *Górecki Roman* „Federacja“. (Godz. 22).

Przyjmuje do wiadomości sprawę Gawęd Legunów. Przed końcem czerwca będę się starał dostarczyć materiału ze swoich przeżyć legjonowych. W poniedziałek wyjeżdżam do Londynu.

Powyższe słowa odnotowałem w pośpiechu ze względu na to, że członkowie Zarządu czekali na rozpoczęcie posiedzenia Federacji, której prezesem jest pan generał.

Zapytałem generała o Federację? Odpowiedział mi z dumą: Leguny należą od pierwszej chwili do tej wielkiej rodziny byłych wojskowych, jaką jest Federacja, mają oni tam do spełnienia wielką rolę w kierunku uświadomienia sobie przez wszystkich sfederowanych o dziejowem w Polsce posłannictwie Komendanta.

Nie wiem, czy już wiecie, że wybraliśmy Marszałka na naszego dożywotniego honorowego Prezesa i Marszałek godność tę przyjął.

W ten sposób rodzina nasza znalazła sobie dostojnego Protektora w osobie Pana Prezydenta i Prezesa honorowego w osobie Komendanta.

Dziś już posiadamy zorganizowanych 24 związki, liczące 320.000 byłych wojskowych.

Jestem pewny, że nasi federaci chętnie czytać będą „gawędy legunów“ i że będą one miłą wiązką wspomnień, jakie legjoniści wniosą do wielkiej rodziny wojskowej — Federacji.

Rozmowa na temat współpracy była, że się tak wyrażę, rozmową efektywną, bo nie dosyć, że otrzymałem przyrzeczenie ze strony pana generała, napisania przez niego do Gawęd przeżywanych osobiście nieraz bardzo tragicznych momentów w Legjonach, ale pan generał zadeklarował odrazu kupno 150 egzemplarzy Gawęd dla Federacji i kazał wypłacić należną sumę skarbnikowi Strzelczyk-Wysockiemu.

Gen. Insp. Sił Zbrojn. Mjr. Ciepichał.

Z prawdziwą radością widzę was u mnie w takiej sprawie. Dawajcie pyska z uciechy. No, to się leguny ucieszą, gdy Gawędy wyjdą. Ja sam napiszę ile tylko będę mógł. Powiem też innym. Chociaż jestem dopiero co po ślubie, no i... uważacie, nie wiele mam czasu. No, ale trudno, napiszę, przecież to dla kolegów legunów.

P. A. T. 8.VI. W zastępstwie p. Dyr. Góreckiego Piotra przyjął mnie p. sekr. Godlewski Leon.

Po wyłuszczeniu mu treści sprawy Gawęd sympatycznie się do nich odnosi i obiecuje podać „List” do wiadomości prasy przez swoje agencje.

Oprócz tego będzie miał stale na myśli nasze wydawnictwo. Umieścić każe dodatkowo wzmiankę w prasie, napisaną w życzliwym tonie.

Ministerstwo Skarbu p. dyr. Krachelski.

„Gawędy powinny już dawno być wydanemi! Spełniłyby niejako rolę podręczników dla tych młodszych warstw obecnego społeczeństwa, jakimi trudami i znojem, w naszych latach młodości, kładliśmy fundamenty niepodległej Ojczyzny?”

Wspomnienia tych zmagani i cierpień któreśmy przeszli, przypominają nam i powinny przypominać innym, że Ojczyzny za „darmo” nie odzyskaliliśmy — o czym nasi następcy a zwłaszcza ci młodszy, powinni o tem wiedzieć!

*

*

— Zabezpieczywszy sobie w ten sposób różnorodność materiału nieraz bardzo cennego i ułatwienia od szanownych obywateli, co czytelnicy sami będą w możności ocenić, przystąpiłem, że się tak wyrażę do „montowania” Gawęd. W pierwszej chwili szło mi to z pewnym trudem, ze względu, że otrzymałem moc listów od Szanownych Czytelników, które ze względu na zawartą treść, kwalifikowała się więcej dla referenta interwencyjnego, a nie prasowego. Bo co tam w tych listach nie było?, chociaż nie powiem by nie były ciekawe — ale z punktu widzenia poszczególnych obywateli, którzy je pisali. Są one bardzo charakterystyczne. Pozwolę sobie przytoczyć kilka tych listów, w streszczeniu. Na przykład pisze legun:

Szanowny Obywatelu!

Otrzymałem odezwę w sprawie napisania coś do Gawęd — tu u nas jest wielu starych Legunów. Napisałbym ja, i może oni, ale ja nie napiszę nic bo poprostu gniewam się z Komendantem —

przecież to nie do uwierzenia, żeby Komendant ani razu naszego miasta nie odwiedził, a przecież napewno wie, że tu jesteśmy, ponieważ trzy lata temu pisałem list do niego z prośbą by trzymał mi chłopaka do chrztu. Nie przyjechał to i ja nie będę pisał.

Obywatelu

Ja na ten list nie mam zamiaru odpisywać, ale poproście oto starego leguna z I Brygady i pokażcie mu ten list w Gawędach. On wam napewno da... na niego odpowiedź, którą przyszlizie do drugiego wydania gawęd.

Otrzymałem od jednego z Ob. list ze strasznym żalem i skargą, że Leguny, którzy są na wyższych stanowiskach rządowych nigdy nie mają czasu by pogadać o jego sprawach w którymś z ministerstw?

...Ze względu, że w początkach czerwca otrzymałem od obywateli parę listów o podobnej treści nie siląc się na obronę wcale naszych dygnitarzy, podam wam na tej drodze parę szczegółów z trybu ich urzędowania, a resztę dopowiedźcie sobie sami.

Czekając na wyznaczoną audjencję (nie w sprawie Gawęd, a innej), u p. np. Ministra Składkowskiego — słyszę rozmowę dwóch woźnych: — To już świat nie widział, żeby pan generał mógł tak żyć. Cały dzień od rana do trzeciej, czwartej w biurze, dziś do południa zjadł tylko bułkę z szynką i napił się szklankę herbaty, którą mu przyniosłem i więcej nie, teraz już po czwartej, a tu coś dwie delegacje czekają i paru interesantów.

Od siebie dodam, że w tym samym dniu o 5-tej odbyć się miało posiedzenie Prezydium Rady Ministrów, na którym Minister musiał być i jak długo trwało, nie wiem, ale w każdym razie z godzinę lub ze dwie?? Później w rozmowie z osobistym jego sekretarzem na ten temat odrzekł mi: Co pan się dziwi? Pan generał stale obiad jada o tak późnej porze, trudno, nie ma czasu, musi przyjmować służbowo bawiących w Warszawie wojewodów, lub ich zastępców, różne delegacje, osoby prywatne i codziennie ma po parę konferencji z pp. dyrektorami departamentu lub naczelnikami wydziałów, do odbycia, a czas leci. Panie sekretarzu, ja się nie dziwię, ale człowieka poprostu rozpacz ogarnia, że pan gen. tak zdrowie szarga I to jest tak codziennie, a przecież takich ludzi jak on nie mamy znów zawiele, żeby się tak przemęczać i nie odżywiać poprostu. Znikł za drzwiami, spiesząc odebrać telefon. Następnny obrazek...

Ministerstwo Skarbu Dyrektor departamentu p. St. (stary legun). Nie mogłem znaleźć okazji w żaden sposób, by z nim porozmawiać. Telefonuje do niego do domu, ze względu na ważność

sprawy, żona jego uwiadamia mnie, że będzie na obiedzie między godziną 4 a 5 popołudniu. Dodała przytem, że na obiedzie długo nie bawi. Przychodzę i zastałem jeszcze na stole niedojedzone i gorące potrawy. Żona powiada: Już odszedł proszę pana, mąż dziś był dłużej na obiedzie jak zwykle, jednak nie doczekał się pana. Jakto? przecież bywa na obiedzie między czwartą a piątą, — no tak, ale obiad trwa u niego nie więcej jak 15 minut, dziś był dłużej o 5 minut, bo czekał na pana. — To gdzie ja obecnie będę mógł męża zastać? — niewiem, — chyba jutro w biurze, ale trudno będzie, bo on rzeczywiście od 8 rano do 12 w nocy pracuje. Proszę się porozumieć z sekretarzem, on pana poinformuje. — Dobrze.

Na drugi dzień rano jestem w Ministerstwie. Zwracam się do sekretarza, — powiada mi — p. dyrektor jest u pana ministra na konferencji, czekam, w przejściu go łapię, zdążyłem zamienić z nim parę słów, bo śpieszy się na posiedzenie „Polminu“, później znów delegacje, interesanci, konferencje i tak cały dzień, — dzień po dniu. Tak Obywatelu. Naszych dygnitarzy praca jest rzeczywiście ciężką przy naprawie tych wszystkich dziedzin w rządzie, które poprzednio opanowane były przez firmowych ludzi różnych odcieni, których niewiele obchodziło dobro kraju i jego gospodarka. Ile kombinacje zdobycia większości dla stronnictwa lub partji, które ich na te stanowisko, protekcją wyforsowały, a które w większości były synekurą, niżeli pracą rzetelną dla kraju! Nasz brat Legun o tem wszystkiem nie wie... a jak wie, to co z tego. Każdy chce gadać co najmniej z ministrem! — Bo on ma ważną sprawę, składa podanie, to co go obchodzi, że minister zajęty, — przecież to Legun, jak i on, to jakże? ma iść do referenta lub naczelnika danego wydziału? Nie, on musi rozmawiać z samym p. ministrem — a nie dostanie się do niego, — by (mówiąc prawdę) nie zawracał głowy bzdurami, — to zaraz, oho! dziś pan minister, czy dyrektor lub naczelnik zrobił się ważny, nie chce z Legunem porozmawiać, — a razem my pod Komendantem służyli i obywatel szemra, (mówiąc między nami), nie mając ku temu żadnych powodów, — ot tak jak dawniej, każdy łazik robił. Nie wiedząc i nie chcąc wiedzieć, że dziś to już nie jest brygada. Dziś niejedyn z dawniejszych dowódców bataljonu, lub kompanji, ma oddane pieczy sprawy dotyczące całego powiatu, lub województwa, a nawet państwa, a przecież bądźmy szczerzy — i do kompanijnego musiało się iść drogą służbową i tego przestrzegać, bo inaczej bałagan. No, to i obecnie są gradacje na załatwianie spraw. Trzeba zwracać uwagę, tembardziej, że z wiekiem nabrałszy rozum, przecież liczymy sobie 15 wiosen więcej od czasu służby.

Musimy te rzeczy rozumieć, a nie dyskutować służbę w legunach, którą nie jeden z nas miał bezwiednie szczęście odbyć, bo akurat tak się okoliczności złożyły, a dziś z tego tytułu ma pretensje, żeby conajmniej w maśle pływał, a każdy inny by mu na baczność miał stać.

Przeczytane listy, z których powyżej wspomniałem podyktowały mi te parę słów do skreślenia, jako ich odpowiedź! a teraz melduję dalej.

W połowie czerwca b. r. otrzymałem list z Algieru. b. leguna, którego obecnie jest w służbie wojskowej Legji cudzoziemskiej, — nawiązałem z nim kontakt, przez Pol. Radjo w osobie p. dr. Stępowskiego. Nie mogę o nim nic narazie pisać, ze względów cenzuralnych. Jedynie spowodowane są przygotowania przez odnośne czynniki rządowe w celu ułatwienia mu powrotu do kraju z tej gehenny cierpień. Listy jego zostaną ogłoszone w drugim wydaniu Gawęd. Na zakończenie raportu mego muszę dodać, że z powodów zupełnego zaabsorbowania się w zmontowaniu Gawęd, wspomnienia moje zapoczątkowane w Gawędach. Nie mogą nadal być pisanymi w tem wydaniu, z powodu braku czasu.

Bardzo wiele rękopisów nadesłanych od ob. ob. pisanych nie na maszynie, nie umieszczę w tem wydaniu, z powodu fizycznej niemożliwości ich przepisania na maszynie i doręczenia do składania w drukarni, za co bardzo przepraszam Sz. Obywateli. Tak samo wszystkich tych, których niektóre szczegóły w wydanej książce będą razić, czy to z braku wyglądu estetycznego, pisowni, lub innych mankamentów, które bezwątpienia z powodu zbyt krótkiego czasu na staranne opracowanie i przejrzenie — w niej się napewno znajdują.

Cześć

(—) *Migula Leon*
(Gnom)

GAWĘDY LEGUNÓW MIĘDZY SOBĄ

Zaraz, czekaj, ja opowiem — jeszcze obecnie takie wstępy opowiadań się słyszy, gdy dawne leguny rozmawiają między sobą.

Było to w maju albo czerwcu 1914 r.

Należałem do Strzelca w jednym z miast środkowej Galicji. Komendant naszej drużyny chcąc być ważnym, jako, że często chodził z jakimś feldfeblem austriackim na spacer, dał nam pewnego razu taki rozkaz na nocnych ćwiczeniach :

Uwaga : Sekcja to taka a taka (ja do niej należałem) będzie osłoną odwrotu i po przejściu mostów ma je zniszczyć, t. zn. markować zniszczenie, by utrudnić za nami pościg nieprzyjacielowi.

Rozkaz — odrzekł sekcyjny psud. Karabela (padł pod Jastkowem jako por. Jamróg).

I w tył zwrot !

— Wiemy o co chodzi. Nieprzyjaciół będzie miał utrudniony za nami pości. Napewno !

Na drugi dzień wiele chłopów z tej wsi, gdzie odbywaliśmy ćwiczenia, nie przyjechało wozami na jarmark do miasta choć był to dzień targowy, a to z tej przyczyny, że mieli... poprzerywane mostki z obejścia na szosę, od której odgradzała fosa. Ojciec mój partycypował potem w odszkodowaniach spowodowanych skutkiem przedwstępnych działań wojennych w sumie kor. 30 za zdemolowanie jednego z mostków przeze mnie. Trudno, przed strzelcem żaden z nas z drużyny nie służył w wojsku.

Sekcyjny otrzymał od Komendanta Drużyny rozkaz uważnego przestudjowania „Ubungen der infanterie“ i „Dienst Reglament“, też „der infanterie“; prosta rzecz, nie było i tak innych, a zresztą na takie zasadnicze przygotowanie nie było czasu, a mostki... nieprzyjaciół po nich napewno nie przejdzie...

*

*

Gorzej przedstawiała się sprawa, gdy Strzelec chciał zdobyć dla siebie ekwipunek, tembardziej, że wersje krążyły o wyjeździe do Krakowa komendanta drużyny; nadmieniał on na „odprawie“.

że każdy musi wystarać się o karabin — zupełnie prawdziwy austriacki karabin z ostremi nabojami! — Ale jak? O to żaden z nas się go nie zapytał, — ma się wystarać i już!

W trzy dni później na zbiórce miało paru z nas karabiny, ja też. W posiadanie go doszedłem bardzo prostą drogą. — Dwa dni chodziłem za austriackimi kompanjami, które uprawiały ćwiczenia na strzelnicy za miastem. Wstawałem o 5-ej rano, brałem ze sobą książkę Wspomnienia z Syberji Rufina Piotrowskiego i markując naukę, szedłem pod koszary i tam pożerany zazdrością, odprowadzałem wychodzących żołnierzy na ostre strzelanie.

W pierwszym dniu zapoznałem się zaraz z ordynansem, t. j. pucyrem pana leutnanta Poksioki, a na drugi dzień, kosztem rozbitej puszkii z zaoszczędzonymi przez moją siostrą pieniędzmi, miałem karabin Manlichera 95 i naboii sztuk 15. Jeden z naboii musiałem wystrzelić w mieszkaniu w sufit przy siostrze (dom partelowy, strych pusty), by wiedziała, że naprawdę mogę się zastrzelić, jeżeli powie ojcu lub matce o rozbitej puszcze i o celu, na jaki jej pieniądze zabrałem. — Pomogło. Odrazu zaniemówiła ze strachu i jeszcze wspólnie ze mną tłumaczyła rodzicom po ich nadejściu, że karabin sam wypalił, bo... postawiłem go przy piecu.

*

Kolega strzelec, Kazek M. zwędził karabin swojemu szwagrowi w dniu jego wyjazdu do kadry.

*

Rudek L. wykombinował wiadomym tylko jemu cudem 2 karabiny od kolejarza na dworcu, a trzeci za garnitur przechodzony cywilny, który mu już nie był potrzebny.

Z kolejarzem wogóle warto było wejść w tego rodzaju porozumienie, choćby ze względu na odbywającą się, dopiero co ogłoszoną, mobilizację, z której to przyczyny wciąż szły transporty wojskowe w różnych kierunkach, dzięki czemu kupowaliśmy w parę dni później bardzo tanio od żołnierzy austriackich nie tylko karabiny, ale i inne części ekwipunku. Żałowałem też trochę, że pośpieszyłem się z kupnem karabinu, które nie było tak dobre, jak to nabywane od kolejarza. Ale trudno, nie mogłem naprzód o tem wiedzieć, a powtóre do tego czasu miałem już wszystko, co mi było potrzebne. Nie tylko ja, ale i koledzy. Po paru dniach ćwiczeń z niemi mieliśmy odparzone ręce i ramiona od pasów, na których się je nosiło. Jednak każdy z nas był dumny, że posiada prawdziwy karabin.

*

Pewnego dnia w lipcu 1914 r. nie przypominam sobie bliżej w jakich okolicznościach to nastąpiło, byliśmy zebrani o zmroku na placu przed katedrą, co przedtem nigdy się nie zdarzało. Obok nas wrosła grupa cywilów i kobiet, wśród których i moja rodzina się znajdowała. Przybył też komendant drużyny ob. Bogacz, pseudonim „Jeleń“, który po objęciu komendy nad nami oznajmił nam, że posiada dla nas rozkaz wyjazdu.

Po pożegnaniu się z rodziną i znajomymi ruszyliśmy w kierunku dworca kolejowego, odprowadzeni przez ludność miasta. Za dwie godziny mieliśmy się znaleźć w upragnionym od tyłu tygodni Krakowie, gdzie można było zobaczyć głównego komendanta Strzelca Józefa Piłsudskiego. On jeden tylko, jak strzelcy mówili między sobą, miał prawo nosić czerwony sznurek przy gwizdku na piersiach.

Drużyna nasza po przyjeździe do Krakowa w lipcu 1914 r. z niewiadomych mi powodów z dworca skierowana była na ul. Dolnych Młynów, do jakiegoś prywatnego domku. Utkwiło mi w pamięci z tego tak tam bardzo krótkiego pobytu, bo tylko trwającego jedną dobę niewiele znacząca przygoda, jednak pamiętam ją po dziś dzień.

Po obudzeniu się rano byliśmy z jednej strony zamoczeni, ponieważ ktoś, pijąc wodę wieczorem, zapomniał w kuchni zamknąć kran od wodociągu, skąd woda dostała się do dalszych dwóch izb, w których leżeliśmy na podłodze, grubo zasłanej słomą. Bractwo zaś zmęczone podróżą i śpiewaniem, a zwłaszcza odbytemi przed wyjazdem ćwiczeniami, trwającymi cały dzień, spało jak zabite.

Na drugi dzień byliśmy już wszyscy w Oleandrach.

Oleandry w Krakowie! Przy końcu ul. Wolskiej w parku nie pomnę po jakiej wystawie pozostał kompleks budynków, budowanych dla tego właśnie celu w formie prawie samych pawilonów, kiosków, lub czegoś pośredniego.

Pierwszy frontowy, dosyć długi budynek parterowy, do którego wejście prowadziło przez mostek okolony barjerkami do przedśionka, znajdującego się w środku budynku, służył jako miejsce kontroli przepustek Strzelców, wychodzących na miasto. Budynek ten posiadał parę sal, w których sypiali na rozesłanej suto słomie Strzelcy, z różnych przybywający codzień stron, różnie umundurowani i ekwipowani. W ekwipunku zwłaszcza przeważała różnorodność broni.

Bocheńska drużyna, na przykład, miała broń boczną brow-

ningi. Objekt zazdrości, całej naówczas, braci strzeleckiej, a zwłaszcza, tak bogato wyekwipowanej drużyny, jak Tustanowicka, względnie Borysławska. Chociaż poszczególni Strzelcy też posiadali zakupioną za swoje pieniądze broń, jednak nie taką nową wprost ze sklepu. Wyjątek chyba stanowiła strzelecka starszyna.

Z sal, będących z jednej i drugiej strony przedsionka, prowadziły wyjścia na obszerny dziedziniec z ubitym gładko żuzlem i wysypanym wiślanym szutrem. Na nim odbywały się zbiórki przed wyjściem strzeleckich kompanij na ćwiczenia, które odbywały się na wprost budynku na błoniach, odgradzonych jedynie drogą wiodącą do Czarnej wsi.

Na środku dziedzińca był pawilon, w którym mieścił się, prymitywnie urządzony, ambulans sanitarny. Raz nawet tam widziałem, za mego tam pobytu, Strzelca, którego ząb bolał, bo miał twarz opuchniętą. Po lewej stronie ambulansu znajdowały się jakieś pomieszczenia mniejsze w formie małych, podłużnych kiosków, z których jeden służył za coś w rodzaju aresztu. W nim trzymano jakiegoś popa, którego pojмали Beliniacy za kordonem w okolicach Miechowa czy Jędrzejowa. Za temi kioskami były dwa inne okazalsze. W jednym z nich mieścił się „magazyn intendentury strzeleckiej”. Zarządzała nim (!), o ile się nie mylę, pani Estreicherówna z matką, bardzo miła i zacna kobieta, względnie panna (chyba dziś jest dopiero kobieta). Poznałem ją później, gdym był przydzielony chwilowo do N. K. N. przy ul. Poselskiej, często jeździłem wtedy z komendantem ob. Sokolnickim i innymi (do czasu pierwszego zranienia mnie w październiku 1914 r.). W magazynie tym była, zdaje mi się, tylko bielizna, która napływała z darów szczodrych dla Strzelców krakowian. Gdzie się mieściła kuchnia — nie pamiętam. Z początku miałem forszę z domu, to jadałem gdzieśbądź na mieście. Często odwiedzałem krewnych, gdzie zawsze nakarmiono mnie do syta. Zresztą wydawano kartki na prywatne obiady, a kartki te, to była mądra bardzo rzecz. O czem później.

Nie zapomnę nigdy tych t. zw. kartek obiadowych, wydawanych w Oleandrach w Krakowie, które doręczała mi jedna z pań z późniejszej Ligi Kobiet (t. zw. Ligawek — oj, zacne to były kobiety). Jak wspomniałem już, otrzymywałem je w Oleandrach. Otóż panie z przyszłej Ligi Kobiet miały staranie o wszystkie potrzeby Strzelców, obowiązek ten wzięły dobrowolnie i ochotnie na swoje barki, tak samo jak i troskę o zaprowiantowanie Legunów (którymi w międzyczasie zostaliśmy po zaprzysiężeniu). Ze względu zaś na to, że wciąż nowi przybywali, często nie można

było ich wszystkich nakarmić w Oleandrach, tembardziej, że i z tych, którzy odeszli z kadrową i następni kompanjami wielu często przyjeżdżało w sprawach służbowych do Krakowa. Stąd rozchodziły się wszystkie nici działalności naszych władz.

Zdarzało się niekiedy, że miałem czas na obiad dopiero o 5 lub 4 popołudniu, czasem i to bardzo często — wcale. O tej porze, gdy wracałem w Oleandrach już nieraz kolacja się gotowała, a obiad wydawany był o godzinie 12. Otóż w takim wypadku nie nazywało. Kartka ta, to było formalne zaproszenie na obiad otrzymywałem tę t. zw. kartkę obiadową, jak się ją wtedy skromdo jednego z obywateli krakowskich, często i to bardzo często nawet, do domów patrycjuszy miasta! Chcę właśnie napisać o takim jednym obiedzie, na którym byłem sam i później o drugim, na który poszedłem z kolegą legunem Adamem K.

Na pierwszy obiad otrzymałem kartkę po przyjeździe z Przegorzała, gdzie byłem z komendantem i głównym emisariuszem propagowania idei strzeleckiej na Kongresówkę p. Sokolnickim. Przyjechaliśmy do Krakowa po południu. Przybyłem do Oleandrów, no i naturalnie o obiedzie ani mowy nawet niema, — mało o obiedzie, — jeszcze niewiadomo co będzie na kolację, bo nie nie zostało kupione; ale mówią mi: obywatel otrzyma kartkę na obiad do państwa N. N. (piszę N. N. bo rzeczywiście nie pamiętam nazwiska).

Przychodzę pod wymieniony adres na „kartce“. Otwiera mi drzwi... lokaj. Oddaję mu kartkę w przedpokoju, poczem po chwili uchylają się drzwi, w których staje pani domu z mą kartką w ręku, zapraszając mnie do jadalni. Jestem skonfundowany, mnę czapkę w garści i zaczynam nieśmiało tłumaczyć, że... to napewno jakaś omyłka zejść musiała, bo... — no ja, jadam zwyczajny obiad żołnierski i... zupełnie na serjo odwykłem jadać inny. Przytem rzuciłem ukradkiem spojrzenie w duże lustro weneckie, w którym ujrzałem mą postać od auta. Brudny, z warstwą kurzu zaschłego na twarzy, w butach podbitych gwoździemi, w t. zw. „Bergsteigerach“. Nie, za żadną cenę nie usiądę w takim stanie przy stole — pomyślałem sobie. Co też udało mi się bardzo miłej gospodyni, po pewnym czasie ze siebie wykszusić. Ale w tej samej chwili nadszedł jej w sukurs małżonek, który zdecydował krótko:

Stan, w jakim się pan rzeczywiście obecnie znajduje onieśmiela go zjeść obiad w naszym towarzystwie, ale na to jest rada — i dając znać gestem małżonce by odeszła, zaprowadził mnie

do... łazienki. A państwo N. N. czekali z obiadem przeszło pół godziny.

Z zażenowania nie tyle obiadem, co kąpielą przed nim, nie często miałem odwagę korzystać z podobnego zaproszenia.

W kilkanaście dni później tak się jakoś złożyło, że nolens volens otrzymałem na obiad kartkę wraz z kolegą Adamem K. (była na 2 osoby).

— No myślę sobie, teraz już nie narażę się, by do stołu iść przez łazienkę, gdyż wołałem się umyć w Oleandrach, gdzie kwatrować miałem jeszcze tylko dni parę. Był to drugi i ostatni obiad na kartkę w Krakowie

Wyszliśmy razem z Adamem, on jako rodowity krakus prowadzi pod wskazany na kartce adres krótszymi drogami. Za parę minut byliśmy na miejscu na ul. Podzamecze wprost Wawelu, pierwsze piętro. Dzwonimy, otwiera służąca.

Panowie pozwolą, państwo czekają przy stole wraz z rodziną.

Wechodzimy. Prezentacja. Przy stole osób pięć. Pan i pani domu, oprócz tego dwie panie i młody jegomość. Do młodego jegomości na stronie szeptem jedna z pań do drugiej:

Wiesz, są dosyć przystojni.

Zupa, pieczone, przed deserem rozmowa na temat aktualny, jak długo może potrwać wojna? — Młody człowiek: No, jeszcze 3 — 4 tygodnie, ewentualnie Austria zabierze wszystkich Moskali do niewoli (tak mówi!).

Adamowi już się podoba jedna z pań, niższa brunetka. Mnie ta druga, też czarna. Zaczyna się ożywiona rozmowa. Czarna kawa. Pan częstuje cygarami (Regalia Media). Nastrój zupełnie „gemütlich“, przepraszam, zupełnie swojski. Kończymy dosyć przeciągnięty obiad. Ja się spieszę, motywując swój pośpiech wyjazdem z komendantem do Myślenic. Wstaję od stołu, by podziękować za obiad i odejść. Wtem Adam tak mnie niemożliwie nadepnął na odcisk, że... zostałem zdezorientowany: czy żeby iść i jęgo zostawić samego, czy też jeszcze parę minut pozostać?

Pani domu bardzo troskliwa bym miał prowiant na drogę, pakuje mi ze względu, że niema nic innego pod ręką, pozostałe na stole z deseru ptysie z kremem.... Nie chciałem oponować by nie tracić czasu na certowanie się z nią o to. Ha, trudno, ciastek nie jadam, ale trzeba wziąć. Adam lubi. Serdecznie dziękując za obiad jeszcze raz, wychodzimy. Brunetka, ta niższa za Adamem wyszła aż na schody, życząc mu przyjemnej podróży. Później dowiedziałem się od niego, że tego samego dnia jeszcze spotkali

się w cukierni Noworolskiego w Sukiennicach. (Adres ten pamiętam do dziś dnia).

Spiesząc na Arjańską do garażu powiadam do Adama: weź ciastka. A on: Nie będę chodził z pakietem. Serwus — serwus i dowidzenia!

W garażu już był przyjęty rozkaz wyjazdu i to parę minut przed moim przybyciem. Siadłem za ster i wyjechałem z pośpiechem.

Ciastka w roztargnieniu położyłem z boku na siedzeniu.

Po przyjeździe do Myślenic Komendant długo się jakoś z auta gramolił... nie wiem dlaczego?

Po powrocie z drogi znalazłem z boku siedzenia, tam gdzie przedtem położyłem ciastka, jakąś lepką miazgę, którą wyrzuciłem. Od tego czasu Komendant często wkładał kurtkę szarą z oposowym kołnierzem. Tylko nie wiem gdzie zostawił swój jasny płaszcz, jaki nosili oficerowie rosyjscy?

(C. d. n.)

GRUBER HENRYK.

MŁODSZYM OD NAS

...Uważam myśl wydania gawęd Legunów za bardzo szczęśliwą. Bo nareszcie zaczną się skupiać materiały, które ludzie przechowywali w głowach, z czego nikt nic nie ma. Gdyby było się już spisać to wszystko, co Leguny dokonali, to ci którzy są dziś jeszcze młodzieżą, mieliby granitowe fundamenty tradycji i przykładów poświęceń dla Polski.

P. S. Umieszczam tych parę słów, podyktowanych mi przez ob. Grubera prezesa P. K. O. do notesu podczas mojej wizyty u niego, z prośbą o przysłanie materiału, który mi został przyrzeczony do drugiego wydania gawęd.

L. M.

Dr. ROMAN GÓRECKI

WIEZIEŃ Z HUSZT I MARMAROS-SZIGET.

(Urywki z pamiętnika).

1917 r...

Rozpoczyna się początek końca. W Przemyślu przeformowano nas w Polski Korpus Posiłkowy. Weszły weń dwa pułki piechoty, 2-gi i 3-ci, jeden pułk kawalerji, jeden pułk artylerji i wojska pomocnicze. Ten strzęp Polskich Legjonów przerzucono na front południowo-wschodni w skład VII armji.

Wielu z moich kolegów opuściło Legjony. Wielu z nas zostało. Postanowiliśmy wytrwać aż do końca — a więc aż do momentu istnienia najmniejszej bodaj iskierki nadziei, że utrzymanie choćby najszczuplejszego zawiązku Armji Polskiej — może być dla sprawy pożyteczne. — Dlatego też gorączkowo szła praca szkolenia i ustawicznego kształcenia się.

Dwunastego lutego tego roku przyszedł śmiertelny cios: złowrogi traktat brzeski.

Ogarnęła nas rozpacz, a majaczyło widmo rozbrojenia. Broń ujęliśmy w garście, żeby wyzwolić Polskę. Tej broni nie wolno nam było oddać. Żołnierze obowiają się podstępnego rozbrojenia. Kilka razy legjoniści budzili w nocy dowódców z alarmem, że prusacy już są w Sadogórze, przybyli by nas rozbroić.

*

14 lutego w południe spotkaliśmy się z oficerami 2 i 3 pułków. Z Komendy Korpusu był ks. Panaś i ja. Postanowiliśmy przejść do Muśnickiego z bronią w ręku, zostawiając jedynie armaty, ponieważ nie można było dostać większej ilości pocisków do nich. Ustaliliśmy dokładnie czas wymarszu dla poszczególnych oddziałów i zakładów z tem, że 15 lutego o wpół

do jedenastej w nocy wszystkie oddziały zejdą się u zbiegu dróg, wiodących z Sadagóry i Mahali w stronę Rarańczy w następującym porządku — 2 p. p., 1 p. art. — tabory — 3 p. p. Udaliśmy się następnie do dowódcy Brygady Hallera. Żymierski zameldował Brygadjerowi o powziętej decyzji i przedstawił szczegółowy plan przejścia. Na żądanie Zagórskiego zmieniono go o tyle, że armaty miały być wzięte.

2 min. 30 po północy rozjechaliśmy się do swoich miejsc postoju, żeby wydać rozkazy i dopilnować precyzyjnego ich wykonania.

*

Minione kilka miesięcy dają mi dziś pełniejszy obraz tego naszego postanowienia. Wtedy nie było ni czasu ni możności pomyśleć o tem szczegółowiej.

Oto bowiem garść szczupłą, jaką byliśmy, oto bowiem Karpacka Brygada Legjonów Polskich w momencie, kiedy państwa centralne po brzeskim traktacie zdają się dochodzić do szczytu swej potęgi — rzuca szaleńczą rękawicę potężnym armjom. To postanowienie nasze było dowodem, że miara długiej cierpliwości polskiej nareszcie przebrała się.

*

15 lutego o wpół do jedenastej w nocy 2-gi pułk z kompanją karabinów maszynowych przybył na miejsce zbiórki. Za pułkiem — Brygadjer Haller ze sztabem.

15 minut później zameldowałem Brygadjerowi, że Sztab Korpusu aresztowany przezemnie jest na miejscu, zaś oddziały i zakłady nadciągają szosą od strony Mahali. *Haller* zostawia jako łącznika *Kruka* i jedzie w stronę Rarańczy, prowadząc 3 p. p. Jeden pułk, staczając krwawą walkę z austriakami przeszedł przez Rarańczę, drugi obok wzgórza Dołżoka. To była piechota. Reszta oddziałów i zakładów nie dotarła do okopów. Rozbity początkowo 53 p. p., następnie zasilony bataljonami sąsiednich odcinków, zaalarmowanych strzałami z pod Rarańczy — współ z pociągami pancernymi wysłanymi z Czeraniowiec, odciął drogę jadącym kolumnom.

Artylerja dotarła do Sadagóry dopiero o 2 w nocy i tam została rozbrojona.

*

O 7 rano w starych austriackich okopach pojmał mnie patrol bataljonu szturmowego. Komendant patrolu zażądał oddania broni. Wraz z legionistą, którego wzięto zemną prowadzono nas do Mahali. Sostrzegłem tam, że aresztują kpt. *Hellmana*, którego madziary również rozbroili, zamykając nas obu w małej chłopskiej izbie. W chwilę potem przyprowadzono nowych legionistów, między innemi chor. *Mazarskiego* i ppor. *Juzwę*. Po upływie jakiejś godziny kazano nam wyjść na ulicę. Zobaczyliśmy dużą kolumnę naszych (około 300). Przeszliśmy na czoło kolumny i pomaszerowaliśmy do Komendy Dywizji, która stała w Alt-Zuczka.

Cały gościniec naszego marszu gęsto obstały dwa pułki piechoty. Tyraljera, karabin przy karabinie wyciągnięto do strzału. Często widziałem ustawione przeciwko nam karabiny maszynowe.

Jeszcze wtedy nie zdawałem sobie sprawy z całą dokładnością — z czekającego mnie losu. Dopiero, gdy zaprowadzono nas, oficerów, do małej chłopskiej chałupy, gdzie zastałem moc kolegów i trzy sanitariuszki (p. Germanowa, p. Krzymuska i p. Kossowska), zrozumiałem z całkowitą jasnością, że w najbliższych godzinach będę rozstrzelany lub powieszony. Albowiem protokół mój, w którym wypowiedziałem posłuszeństwo naczelnej komendzie austriackiej i stwierdziłem aresztowanie przeze mnie Sztabu Korpusu, protokół zostawiony Lewartowskiemu dla oddania austriakom — decydował o moim losie ponad wszelką wątpliwość.

Nastrój był nieco ciężki. Panowaliśmy jednak całkowicie nad nerwami. Około 2-ej zjedliśmy obiad w szkole, poczem doprowadzono nas dalej. Na przodzie szło około 70 oficerów, za nami około 800 żołnierzy. Prowadzono nas gościńcem w stronę stacji kolejowej Zuczka. Po drodze śpiewaliśmy „Rotę”. Zobaczyliśmy ogromną ilość wojska w pełnem przygotowaniu. O 10-ej wieczorem przyszliśmy do Neumanajeszti. Ulokowano oficerów i trzy kobiety w jednym budynku piętrowym. Zimno, pusto, ani słomy, ani wiorów.

*

Po okropnem parodniowem znużeniu spałem jak kamień.

Zaraz po południu, spodziewając się, że lada chwila zacznie się sąd doraźny, zacząłem pisać listy pożegnalne do rodziny. Tego dnia jednakże nie wezwano mnie.

18-go rano przyszedł do mnie oficer służbowy, żeby mnie zaprowadzić do sądu.

Sąd urzędował w chłopskiej chałupie. Zastałem tam kpt. audytora i porucznika. Spisano generalja, poczem audytor zażądał, bym mu opowiedział cały tok wydarzeń.

Zapytałem go, czy czytał mój protokół aresztowania Sztabu. Kiedy mi odpowiedział, że zna to wszystko, wyjaśniłem mu mój punkt widzenia następująco:

„W takim razie pan kapitan zdaje sobie doskonale sprawę z mojej sytuacji. Ja, jako prawnik, posiadający praktykę, także zdaje sobie z tego sprawę. Dawno już pogodziłem się z losem. Serdecznie mi żal, że nie udało się nam przedrzeć wszystkim.

A więc zasadniczo sprawa jest załatwiona i nie mielibyśmy nic do mówienia wspólnie, gdyby nie to, że chcę wam przedstawić tło, na którym rozegrały się ostatnio wydarzenia. W tym wypadku muszę sięgnąć nieco wstecz“.

Audytor zgodził się na to.

Zacząłem od organizacji strzeleckich, z których powstały Legjony. Wspomniałem o aktach z 5.XI 1919 i 12.IX 1917. Podkreśliłem mu, że te uroczyste przyrzeczenia monarchów, a nie ministrów, zostały złamane.

Wspomniałem o podróży Rady Regencyjnej do Berlina i Wiednia, gdzie ją przyjmowano jako przedstawicielstwo Państwa suwerennego, żeby w parę tygodni potem sromotnie obrażać to Państwo, zabrawszy mu odwiecznie polski szmat ziemi. Mówiłem, że pokój brzeski uważamy za czwarty rozbiór Polski. Mówiłem o groźbach rozbrojenia, gdyż pokój z Rosją był już zawarty, zaś na innym froncie Legjony w żadnym razie nie mogły być użyte.

Potwierdziłem, że komendę nad dowództwem Polskiego Korpusu Posiłkowego i wszystkimi zakładami bezpośrednio mu podlegającymi ja objąłem. Na pytanie, kto mi powierzył — odmówiłem odpowiedzi.

Śledztwo potrwało do południa. Zarządzono przerwę obiadową. Koledzy dali mi mamałygi i zarzucili pytaniami. Kpt. Przepiliński znalazł w swojej walizce sucharki, rozdawał po jednym. Wyjątkowo dostałem trzy, żebym, jak mówił, miał siłę dalej zeznawać.

Niebawem przyszła do mnie eskorta. U audytorów opowiedziałem o postnowieniu przedarcia się do gen. Muśnickiego.

Zapytano mnie, jak to było z naszym Sztabem. Odpowiedziałem: „ze Sztabem była trudna sprawa. Do ostatniej chwili nie wiedzieli. Dopiero, gdy koło 7-ej na moje pytanie, czy idą z nami, generał, a za nim inni oświadczyli, że nie pójdą — aresztowałem ich“.

Opowiedziałem niektóre szczegóły próby przedarcia się przez okopy, co trwało do wieczora. Przerwano mi oświadczeniem, że dokończymy na drugi dzień.

Nie odprowadzono mnie do kolegów, na dawne miejsce. Eskorta odstawiła mnie do samotnej chałupy chłopskiej, gdzie zastałem już Zagórskiego i Bolda.

Gdym w zdziwieniu zapytał Bolda, co on tutaj robi, powiedział Zagórski, że to chyba pomyłka, bo Bold przecie nie należy do naszego towarzystwa.

Przeglądaliśmy z Zagórskim wojskowy kodeks karny. Wszystkie paragrafy nas dotyczące jedno miały rozwiązanie: Strang — Erschiessen (stryczek — rozstrzelanie).

W nocy gnębiła mnie tylko jedna myśl: żeby przypadkiem nie przyszło im do głowy zastosować stryczek zamiast kul. Rozmyślałem nad śmiercią przez rozstrzelanie; samo jej wykonanie wydało mi się zupełnie lekkie, byle dobrze strzelali. Pogodziłem się już z tem, ale śmierć przez powieszenie była mi wstrętna, buntowało się we mnie przeciwko niej wszystko co żołnierskie i... poprostu bałem się jej. Lękałem się, że widok szubienicy i tych czynności wstrętnych nadwyreży mój spokój i hart woli. Nie mogłem zasnąć. Oderwałem myśl od nadchodzącej na mnie śmierci i począłem myśleć z ogromną tęsknotą o moich towarzyszach. Gdzie są obecnie, czy przedrą się do Muśnickiego, czy bagnety w ich dłoniach wrócą do Polski i cóż za los zrzucił, że nie było mi dane być z nimi.

19 lutego... nie dużo już czasu mam do dyspozycji. Piszę pośpiesznie dalsze listy pożegnalne. Przerwała mi je eskorta i zaprowadziła do sądu. Protokołowanie trwało do południa. Po podpisaniu protokołu zapytałem audytora, kiedy to się skończy. Odpowiedział mi: „prawdopodobnie będzie pan odwieziony do Kołomyi i tam doraźnie stracony“.

Przyszedłszy do naszej wspólnej chałupy opowiedziałem to Boldowi i Zagórskiemu. Ten ostatni powiedział, że czeka go to samo.

Napisałem potem bilet do audytora, żeby mi pozwolił pożegnać się z kolegami. Zagórski także się podpisał. Audytor zgo-

dził się na pożegnanie, ale tylko w jego obecności. Zostawiliśmy Bolda i poszliśmy, ale już nie zastaliśmy nikogo. Odwieźli ich do Huszt. Wróciliśmy do kpt. Bolda. Bold leżał na ławie pod oknem. Za chwilę przyszedł oficer z żołnierzami mówiąc, że przyszedł do kpt. Bolda. Ten usiadł na ławie i nagle, nie mówiąc, zaczął płakać, jak mały chłopiec. Jan Maciej Bold — uosobienie humoru, dowcipu i wesołości zanosił się od płaczu. Widząc, że to jest ostatnia sposobność posłania moich pożegnań, chciałem listy pośpiesznie dokończyć i dać mu je do wręczenia, co też zrobiłem. Oficer naglił, Bold szlochał jeszcze trochę i pakował rzeczy, żołnierze patrzyli ze zdziwieniem, że ten, który jedzie razem z innymi do więzienia płacze i rozpacza, a ci, którzy zostają, są spokojni i jeszcze go pocieszają. Bo też myśmy byli dalecy od płaczu.

Wieczorem zabrali mjr. Zagórskiego. Z żalem pożegnałem się z nim. Jednak i to rozstanie w ostatniej, jak sądziliśmy chwili, nie odebrało nam spokoju. Ucałowaliśmy się na pożegnanie, przyczem Zagórski powiedział mi: „No, Romek, trzymaj się mocno!”

„Może major być spokojny“ — odrzekłem i... zostałem sam z memi myślami.

Wydało mi się tedy rzeczą zupełnie jasną, że sprawa Zagórskiego będzie rozpatrywana dłużej, moja zaś w trybie doraźnym, że zostanę stracony rychło, a zatem czas już najwyższy zrywać ostatnie nici ze światem zewnętrznym. I wtedy zacząłem pośpiesznie pisać moją ostatnią wolę.

Ostatnia moja wola — 19.II 1918.

1. z 500 koron, które mi winien ppor. Wasserab oddać:

a) na Naczelnny Komitet Narodowy	75 kor.
b) ppor. Rudolfowi	100 „
c) ppor. Grodyńskiemu	125 „
2. z pieniędzy, które mam w portfelu, dać:

ppor. Grodyńskiemu	75 „
--------------------	------

resztę rozdzielić między tych żołnierzy, którzy będą strzelali do mnie
3. portfel wraz z zawartymi tam listami i fotografjami oddać Matce mej Paulinie Góreckiej,
4. mój pierścień pamiątkowy z 6 pp. oddać Mitoldowi Mogilnickiemu (Warszawa, Moniuszki 2. 6 p.),
5. pochować mię w tem ubraniu, płaszczu i butach, które będę miał na sobie,

6. zaznaczyć mój grób, by mogła Matka o nim się dowiedzieć,
7. mój pugilares żółty oddać siostrze mojej, Apolonji Góreckiej,
8. po wykonaniu ostatniej mej woli oddać to pismo Matce mojej, Paulinie Góreckiej,
9. wykonawcą mej woli ustanawiam spowiednika,
10. zegarek kieszonkowy z łańcuszkiem oddać memu ordynansowi, Tomaszowi Floreczakowi, do którego należy,
11. załączone listy doręczyć,
12. wymienione w adresach osoby zawiadomić, żem do końca wytrwał, jak na polskiego żołnierza przystało,
13. nie pozwolić, aby mnie obrabowano po śmierci.

Dr. Górecki Roman

kpt. int.

Altamajeszti, 19.II 1918.

Właściwy mój testament, zawarty był w listach pożegnalnych, pisanych do rodziny i przyjaciół — to też ostatnią moją wolę zawierały tylko sprawy, wymagające bezzwłocznego uregulowania.

Około godziny 7-ej przyszedł jakiś oficer z komendantem warty i oświadczył mi, że o godzinie pierwszej zostanę obudzony, gdyż o 1.30 po północy wyprowadzą mnie. Nie chciał powiedzieć mi, dokąd będę zaprowadzony. Zrozumiałem, że ta noc jest moją ostatnią.

A noc była cudowna. Wyszedłem przed chatę. Spytałem żołnierzy stojących na warcie czy mogę pochodzić koło domu.

Patrzyłem na rozgwieżdżone niebo, szukałem gasnących gwiazd... nie znalazłem.

W ciągu nocy przewieziono mnie do Kołomyi i osadzono w miejscowym więzieniu.

Począłem przygotowywać się do ostatniej drogi. Przeczytałem ostatnią moją wolę i listy pożegnalne. Co do spowiedzi i wogóle religijnej strony śmierci — byłem spokojny. Nie bardzo grzeszyłem, nic nie miałem na sumieniu, a jedynie trochę mnie to gryzło, że nasz kapelan Panaś, wbrew mym nadziejom, nie może mi dać ostatniej pociechy duchowej.

Ale z drugiej strony wiedziałem, że księdza muszą mi dać i że według ustawy muszą mi zostawić conajmniej 2 godziny na przygotowanie się na śmierć... Natomiast uwagę moją zajęła kwestja inna, a mianowicie kwestja samego wykonania kary

śmierci. Chodziło mi oto, żeby poprostu wobec obcych nie skompromitować polskiego munduru, gdybym w ostatniej chwili stracił panowanie nad sobą, zimną krew i spokój.

Obawy moje były tem bardziej uzasadnione, że to był już piąty dzień tego czekania i że również od pięciu dni żyłem tylko czarną kawą i chlebem, więc byłem naogół wyczerpany.

I temu chciałem za wszelką cenę zaradzić. Jako jedyny skuteczny na to sposób, wyobrażałem sobie następujący: przemyśleć i wyobrazić sobie ze wszystkimi szczegółami samo wykonanie kary śmierci tak, by w ostatniej chwili nie mnie nie zaskoczyło, nic nie było dla mnie niespodzianką, lecz przeciwnie, żeby wszystko odbywało się niejako według zgóry obmyślanego i przewidzianego planu. Tem łatwiej mi to zresztą przyszło, że z procedury karnej, jako też z licznych opisów wiedziałem niemal z całą dokładnością, jak to się odbywa. Chodziło więc o to, by się poprostu wmyśleć w tę sytuację. Lecz zaraz na początku natrafiłem na pierwszą trudność; nie byłem mianowicie, zupełnie pewny, czy będzie rozstrzelanie, czy powieszenie. Pamiętałem bowiem dokładnie, że wśród zarzuconych mi zbrodni 4 zagrożone były karą śmierci przez rozstrzelanie, a 3 przez powieszenie. Wobec tego nie było innej rady, jak przygotować się na obie ewentualności. Zacząłem więc od rozstrzelania; a więc samo doprowadzenie: pół plutonu, który ma strzelać, potem ja z księdzem, potem eskorta, a potem te osoby, które w myśl procedury karnej muszą lub mogą być obecne: a więc prokurator, lekarz, audytor i t. d. Po przyprowadzeniu na miejsce stracenia, spodziewałem się zastać gotowy grób; tego się obawiałem, żeby mnie w ostatniej chwili nie przestraszyło i nie wyprowadziło z równowagi. Potem doszedłem do wniosku, że i owszem, w takim bowiem razie, pochowanoby mnie zaraz po rozstrzelaniu, a więc w obecności wyżej wymienionych osób, a to dawało mi gwarancję, że mnie nie obrabują po śmierci, a tego nie chciałem i już w ostatniej woli, jako punkt ostatni to umieściłem. Ta sprawa już od paru dni mnie niepokoiła, a złożyła się na to taka okoliczność: miałem zupełnie nowe buty (z cholewami), które kupiłem sobie w Wiedniu, a które nałożyłem na drogę. Otóż zdawało mi się, że pilnujący mnie żołnierze spoglądali na te buty dość znacząco. Ponieważ buty dość trudno schodziły z nóg, więc mimowoli wyobraziłem sobie, jak mi je będą z nóg ściągali po egzekucji. Do tego nie chciałem dopuścić; wprawdzie tłumaczyłem sobie, że przecież tego już nie będę czuł, ale po-

prostu wzdrygałem się na myśl o tem. I dlatego w ostatniej woli specjalnie prosiłem, by nie dopuszczano do obrabowania mnie.

Dalej utrvalałem sobie w pamięci wszystkie szczegóły egzekucji. Przeszedłem je sobie w myśli kilkakrotnie, chcąc każdy szczegół wbić sobie w pamięć, tak, że wkońcu byłem sobie zupełnie pewny. Trudniej było z powieszeniem; lecz i tu przypadała mi znajomość procedury karnej. Jest tam mianowicie postanowienie, że jeżeli niema na miejscu kata zawodowego, to komendant właściwy ma prawo zmienić karę śmierci przez powieszenie na rozstrzelanie. Wiedziałem z medycyny sądowej, że przy wykonaniu kary śmierci przez powieszenie przez zawodowego kata, ten w ostatniej chwili skręca skazańcowi nagłym ruchem głowę, tak, że śmierć następuje momentalnie, mianowicie przez przerwanie kręgów stosu pacierzowego. A więc śmierć jest momentalną. Ponieważ byłem przekonany, że zawodowego kata w Kołomyi niema, a ponieważ wyrok ma być wykonany w 2 godziny po zapadnięciu, więc byłem niemal pewny, że nie będę powieszony, lecz rozstrzelany, a na to już przedtem byłem zupełnie przygotowany. Tak udało mi się rozwiązać bardzo dla mnie ważny problem, a mianowicie, kwestję samego wykonania śmierci.

*

W ten sposób przygotowałem się zupełnie. Byłem spokojny, że wytrwam aż do końca. I wtedy zacząłem się modlić. Lecz mówiąc „Wierzę w Boga“ — pomyliłem się w jednym miejscu i utknąłem. Zacząłem na nowo i znów utknąłem. Zapomniałem już. Ogarnął mnie żal i wstyd i wtedy zacząłem się modlić do Boga moją własną modlitwą.

Na korytarzu posłyszałem nagle szybkie kroki, zbliżające się do mojej celi. Otwarto drzwi, wszedł kp. audytor Ustjanowicz i rzekł: „Zawiadamiam pana, że ze względu na upływający termin ustawowy, sądu doraźnego nie będzie, lecz postępowanie polowe“.

Wyszli... W pierwszej chwili ucieszyłem się, ponieważ zobaczę jeszcze moich kolegów, a na rozprawie głównej powiem sądowi prawdę w oczy. Ale potem przyszedł refleksje, mniemanie, że audytor powiedział mi tylko dla uspokojenia, a później żal, że przeciągać się będzie ostatni akt mojego życia i może mnie zastać niejako rozbrojonego i nieprzygotowanego nań tak, jak jestem w tej chwili.

*

Kiedy zaś dowiedziałem się wieczór tego dnia, że pojadę do Huszt do moich kolegów, których już na zawsze pożegnałem — ogarnęła mnie bezgraniczna radość życia. Dużego wysiłku woli potrzebowałem, by nie krzyczeć ze wszystkich sił, że żyję, że patrzę na ludzi i świat, że cieszę się szerokim horyzontem, że wpłuka mogę zaczerpnąć pełną piersią powietrza. I wtedy zrozumiałem, że wprowadzić przy pewnym wysiłku woli można z łatwością wyrzec się życia, gdy Sprawa tego wymaga, ale, że jest ono jednak najwyższem dobrem człowieka.

*

Huszt. — Marmaros-Szigeet.

Sprawiedliwość austriacka nasz czyn z 15 lutego ujęła w dużą ilość paragrafów i definicyj prawnych, przyczem obok zbrodni ściśle wojskowych z całą beczelnością zarzucano nam również zbrodnie pospolite.

Uznano mnie za głównego oskarżonego. Akt oskarżenia brzmiał:

„Na podstawie doniesienia Komendanta c. k. 7 Generalnej Komendy z dnia 17 maja 1918 r. wnosi się akt oskarżenia

przeciw kpt. dr. Romanowi Góreckiemu
o przestępstwo przeciw zbrojnej mocy państwa

...par. 327 MSTEg, nieprawego werbunku par. 306 a i c, uknuć spisku, zmierzającego do dezercji par. 216, 219 c. i d., par. 167, 169, 170, 11, 415, o gwałt publiczny VII stopnia par. 366 i 367, współudział w kradzieży par. 11, 457, 459, 462; c. 464 a. i b. 463 c. dalej par. 69 i 471 i oszustwa wedle par. 502 i 508.

1) Oskarżony w porozumieniu z rotmistrzem Okołowiczem, przy pomocy uzbrojonych legionistów, uwięził komendanta Korpusu posiłkowego, generała Zielińskiego, wraz ze sztabem.

2) Namawiał do dezercji i przez zмовę ułatwił częściom posiłkowego Korpusu przejść do wojsk, nienależących do związku c. k. armji.

3) W chwili, gdy gwałt chciano stłumić, jako oficer i naczelnik buntu prowadzi swą zbrodniczą działalność dalej, tak, że musiano zrobić użytek z broni, przyczem postradały życie wojskowe osoby.

4) Zniszczył wojskowe telegrafy, by w zdradziecki sposób kłaść przeszkody przedsięwzięciom c. k. armji.

5) Dopomógł do nieprawego przywłaszczenia sobie rzeczy, należących do c. k., jako to: amunicji, armat, koni, uzbrojenia, mundurów, żywności i kasy.

Na tej zasadzie ma być ukarany, wedle par. 328 a MSTG (Wojskowy Kodeks Karny).

Podobnie sformułowano oskarżenie w stosunku do reszty oficerów i szeregowych.

I zaczęły się długie miesiące więziennej udreki...

(—) Roman Górecki.



IGNACY BOERNER
Minister Poczt i Telegrafów.

IGNACY BOERNER, Minister P. i Telegr.

Mam napisać obrazki z życia legunów. Dobrze, napiszę. Tyle się w tych czasach przeżyło, tyle refleksyj to nasze bujne leguńskie życie nam nasuwało, że rzeczywiście warto przyszłym pokoleniom przekazać coś nie coś z tego naszego „kawałka” życia, lecz uważam, że warto przekazać nietylko to, co było wesołem, ale i to, co było bolesnem, co nieraz łzy wyciskało z naszych oczu, albo z przyczyny czego zęby się zaciskało i hartowało się swoją duszę.

*

Było to dnia 7 sierpnia 1914 r.

Granicę przekroczyłem z kadrówką. Dnia 7 sierpnia otrzymałem rozkaz wyjazdu do Wielkiego Księża w celu przygotowania kwater i obiadu dla kompanji kadrowej, która z Miechowa miała wyruszyć do Jędrzejowa. Do pomocy otrzymałem jednego szeregowca. Po przyjeździe do W. Księża zwróciłem się do wójta, żeby kazał przygotować kwatery oraz nakazał ludności przygotować obiad. Wójt odmówił pomocy, sekretarz wójta natomiast przyrzekł pomoc. Zaproponował, żeby nocleg urządzić w pałacu Wielopolskich, który właśnie restaurowano, i pojechał tam z żołnierzem wszystko przygotować, ja zaś kazałem przedstawicielom ludności zebrać się na rynku. Zjawiło się kilkudziesięciu żydów. Zażądałem od nich, żeby zajęli się przygotowaniem posiłku dla żołnierzy, za który zapłacę. Żydzi odmówili. Wtedy kazałem trzem najstarszym wystąpić, odseparowałem ich od innych, wyciągnąłem rewolwer, skierowałem do tych trzech, oświadczając innym, że jeżeli w przeciągu godziny reszta obiadu nie przygotowuje — to będę strzelał. Byłem sam jeden, a żydów w miasteczku kilkuset. Widocznie miałem tak groźną i zdecydowaną minę, że w przeciągu pół godziny żydzi tak się zakrzętnęli z dostarczeniem żywności, kotłów i drzewa, że obiad był na czas gotowy i kompanja najadła się do syta. Nocleg w pałacu też był wcale dobry.

Przed wieczorem zjawił się do mnie sekretarz gminy i oświadczył, że następnego dnia jest galówka (zdaje się imieniny cara) i że ksiądz katolicki oświadczył, iż odprawi nabożeństwo.

Udałem się do księdza osobiście, prosiłem, groziłem, — nie pomagało. Staruszek uparł się, że nabożeństwo odprawi; zirytowany więc oświadczyłem księdzu, że aresztuję go, że nie wolno mu wychodzić z plebanji i że nazajutrz rano postawię przed plebanją wartę. Ksiądz na to oświadczył, że trudno, — siłę się podporządkuje, — i rzeczywiście nabożeństwo się nie odbyło.

Podczas następnego mego pobytu w Wielkim Książu sprawa się wyjaśniła. Byłem u księdza i dowiedziałem się od niego, że on jako polityczny przestępca był już zesłany na Sybir, że przebył tam kilka lat i żył w tak ciężkich warunkach, że, jak mi powiedział „nie miał odwagi narazić się po raz drugi na zsyłkę na Sybir i wołał zostać fizycznie zmuszonym do nieodprawienia nabożeństwa, aniżeli jeszcze raz przeżyć to, co przeżył tam w tajgach Sybiru“.

BYŁO TO DNIA 12 SIERPNIA 1914 R.

Podczas pierwszego zajęcia Kielc wjechałem do Kielc pierwszy jako Komisarz Wojskowy, w otoczeniu obecnego generała Litwinowicza, jako intendenta, pułk. Beliny i beliniaków. Nie będę szczegółowo opisywał tego dnia. Opiszę tylko jeden obrazek.

Po przyjeździe Komendanta Piłsudskiego do Kielc otrzymałem od niego polecenie zwrócenia się do biskupa Łozińskiego w celu uzyskania audjencji dla Komendanta, który jako wódz powstańców uważał za swój obowiązek złożyć wizytę pierwszemu biskupowi polskiemu, w siedzibie którego się znalazł. Sekretarz biskupa po porozumieniu się z biskupem oświadczył, że biskup przyjmie „Pana generała“ o godzinie 13-ej.

Rzeczywiście o godzinie 13-ej Komendant Piłsudski, Szef Sztabu Sosnkowski i ja udaliśmy się do mieszkania biskupa, po chwili zostaliśmy przyjęci. Jednocześnie jednemi drzwiami wchodził do salonu biskup, drugimi Komendant.

Nastąpiło powitanie: „Witam Pana Generała“ proszę, niech panowie siadają“. Siadamy. Długa chwila męczącego milczenia. Odzywa się Biskup: „Niech pan Generał spojrzy na moje kwiaty“ (które stały w doniczkach na oknach). „Rzeczywiście, śliczne kwiaty“ — powiada Komendant i podchodzimy do okna. „Ale Panie Generale, niech Pan spojrzy na tę różę w ogrodzie“. Patrzą przez okno do ogrodu. „Tę różę sam szczepiłem, to mój ulubiony kwiat“. „Ach, rzeczywiście, śliczna róża“ — mówi Komendant. Następnie nastąpiło pożegnanie. Ani słowa więcej. Taka była pierwsza rozmowa biskupa polskiego Łozińskiego z Komendantem Piłsudskim!

Jeżeli się nie mylę było to 17 czy 18 sierpnia 1914 r.

Staliśmy wtedy w puszczy Samsonowskiej. Otrzymałem rozkaz, żeby pojechać do jakiegoś młyna (nazwy miejscowości nie pamiętam) i zakupić kilka worków mąki. Przyjechałem do młyna. Młynarz zaczął ze mną rozmawiać, gdy się dowiedział, że jestem oficerem polskim, kazał synowi naładować kilka worków mąki. W międzyczasie z rozmowy dowiedziałem się, że młynarz jest powstańcem z 1863 r. Gdy naładowano worki i chciałem zapłacić, młynarz zapłaty nie przyjął, gdy już miałem odjechać, stanęły mu łzy w oczach i zwrócił się do mnie mówiąc: „Powstańcy, znowu powstańcy, myśmy przegrali, wy wygracie”! „Na do-datek weź pan, panie oficerze, mego syna, który niechaj też za Polskę walczy”.

Był to zdrowy, silny chłopak dwudziestoletni, pojechał z nami. Niestety, nazwiska tego chłopca nie pamiętam i nie wiem co się z nim stało.

*

Daty nie pamiętam. Było to zdaje się we wrześniu 1914 r. Pojechałem do Dąbrowy Górniczej, gdzie się formował już nasz oddział. Zajechałem, jeżeli się nie mylę, przed szkołę sztygarów, gdzie była kwatera. Wsiadłem z auta przed szkołą; stoi na warcie jakiś cywil w meloniku z karabinem w ręku. Pytam go, czy tu jest Komenda polskiego oddziału, — mówi, że tak; chcę przejść koło niego, nagle zatrzymuje mnie, stawia karabin przy drzwiach i mówi „przepraszam Was obywatelu, zapomniałem się Wam przedstawić”, podaje mi rękę i mówi swoje nazwisko. Niestety nazwiska nie pamiętam. Ale uśmiełem się serdecznie z „cywila”, boć siebie uważałem już za starego wiarusa.

*

Było to w końcu września. Pojechałem do miasta Łodzi, żeby przygotować grunt na zaciąg żołnierzy do I brygady. Znowu nie będę opowiadał szczegółów, przytoczę tylko pewne fragmenty. Po przyjeździe moim do Łodzi, pierwsi do mnie zgłosili się skauci łódzcy, którzy od początku pełnili najrozmaitsze funkcje, np. służbę wartowniczą. Komenda znajdowała się w dawnym gimnazjum rosyjskiem; przed bramą postawiłem na warcie skauta. Wracam kiedyś wieczorem, widzę mego skauta stojącego na warcie z karabinem i płaczącego. Pytam się: „czego płaczecie obywatelu”? Łkając odpowiada: „Wszyscy, którzy przechodzą, pluja na mnie”. Odpowiadam mu: „Jako? polski żołnierz pozwala się obrażać i płacze, mając karabin w ręku?” Skaut podniósł głowę

i odpowiedział dumnie: „Tak, jestem polskim żołnierzem, mam karabin i nie pozwolę się obrażać“.

Ochotnicy się zgłaszali. Trzeba było utworzyć komisję przyjmującą żołnierzy do wojska. Potrzebny był lekarz. Miałem znajomego lekarza, zwróciłem się do niego. Obiecał i następnego dnia miał się zjawić. Mija jedna godzina, druga, — doktorek się nie zjawia. Posłałem skauta, żeby go pod karabinem sprowadził, a tymczasem funkcję lekarza zaczął pełnić skaut, młodziak, nazywał się Jur Szletyński, następnie dzielny żołnierz I brygady, który niestety zginął pod Konarami.

Albo taki obrazek. Zjawia się do mnie przełożona pensji, której pensja znajdowała się naprzeciwko, i zaklina się na wszystkie świętości, że doszły do niej wieści, iż wkrótce mamy zamiar opuścić Łódź i podobno chcemy wysadzić w powietrze gimnazjum. Błaga, żeby tego nie czynić, bo i jej szkoła może przy tem uciepnieć.

Kiedys otrzymuje list z prośbą o przyjęcie do legionów. W liście masa błędów ortograficznych, widać pisany ręką niepewną. Przypominam sobie niektóre ustępy, które przytaczam: „Jezdem kobita, czuję pociąg do oręża, ubieram się po męszku, że nikt nie pozna żem jest kobieta“ pokazałem list ś. p. Gustawowi Daniłowskiemu. List Daniłowskiego zaintrygował, ponieważ był podany adres, więc zdecydował się zobaczyć, kto to zacz. Poszedł. Wkrótce wraca i mówi: „Stara, ma lat z 50-siąt, a co najgorsze, że brzydka jak noc“ br. br. br.

*

Październik 1914 r.

Jechaliśmy w trójkę gen. *Trojanowski*, *Gustaw Daniłowski* i ja z Częstochowy po pod Krzywopłoty, autem. Po drodze postanowiliśmy nocować w jednej wiosce. Naturalnie zatrzymamy się u księdza. Zajeżdżamy. wychodzi fertyczna gosposia, która oświadcza, że księdza niema, ale wkrótce przybędzie i zaprasza. Wchodzimy do przedpokoju, był już mrok, rozbieramy się, gosposia prosi do pokoju, zapala światło i wychodzi do ciemnego salonu. Daniłowski, zacierając rączki z uśmiechem „Marji Magdaleny“ w lansadach za nią. Wtem przyjeżdża nagle ksiądz. Nie witając się z nami wpada do salonu. I słyszymy głos Daniłowskiego: „Jakie ksiądz ma śliczne obrazy“. Pokładamy się ze śmiechu, ale zostaliśmy ukarani. Gosposi więcej nie widzieliśmy, ksiądz sam obsługiwał nas przy kolacji, sam pościelił nam łóżka i sam rano przyniósł oczyszczone ubrania, buty i śniadanie. O nadobnej gosposi ani słychu.

ROZSTANIE!

Zachodziło krwawo słońce. Konrad wracał z ćwiczeń strzeleckich do domu.

Przechodząc przez ulice miasta, widział na młodych twarzach nieopisany entuzjazm, a żywe rozmowy toczyły się już na temat wypowiedzianej wojny. Sylwetki starych ludzi przesuwwały się obok Konrada milcząco, zamyślane same w sobie. Czasami między temi typami prześlizgują się gazeciarze z przeróżliwemi wrzaskami, reklamując sensacyjne wiadomości o pierwszych krokach wojennych państw centralnych.

Ruch na ulicach wzmaga się, a gawieź od czasu do czasu gromadzi się na rogach chodników, by zaczerpnąć jakąś plotkę, która stawiała się automatycznie podłożem do dalszej dyskusji.

Idą rezerwiści z kuferkami, z tobołkami, przewieszonemi przez prawe ramiona, wyśpiewując swoją gwarą, swoim narzechem piosenkę ludową, która zawiera tyle sentymentalizmu, że niejednego przechodnia rozrzewniło do łez. Za nimi kroczą kobiety, płacząc, żegnając swych mężów, braci na nieznane koleje wojny. Niekiedy na wąskich ulicach zatrzymuje się tramwaj, by przepuścić tych, którzy śpieszą do swoich regimentów, by zadość uczynić ostatnim rozkazom swojemu zaborcy...

Z jakiegoś zakrętu wyłania się mały oddział wojska, przyodziany w błękitno-szare mundury. Konrad słyszy głosy. — To nasi. Strzelcy! Słyszy owacje, słyszy oklaski. Następna kompanja w odległości 60-ciu metrów od pierwszej dumnie kroczy ulicą ze śpiewem: „Hej strzelcy wraz, nad nami Orzeł Biały”. Idą w kierunku dworca kolejowego. Jeszcze dzisiaj wyjeżdżają do Krakowa, by spełnić rozkaz komendanta głównego.

Młody rozentuzjasmowany Konrad dostał się wreszcie do domu, gdzie rodzice rozmawiali na temat wojny. Konrad przywitał się ze wszystkimi domownikami, zasiadając do stołu. Kuzyn Marjan, siedząc zamyślony w fotelu, cedził flegmatycznie przez zęby o wojnie, o polityce, zapatrując się pesymistycznie na sprawę polską.

Matka Konrada zaczęła go pocieszać i mówić o wspólnym wysiłku narodowym, który właśnie przez pola bitewne wywieździe nas do Niepodległej.

Marjan z przekąsem, a później z oburzeniem. — „Tylko nie pod wodzą Piłsudskiego, który chce być dyktatorem“.

„Droga ciociu, co on zrobi z tą garstką szaleńców“.

Młodziutki Konrad, o bujnych blond włosach, o czarnych oczach, nie mogąc słyszeć tego zwątpienia ducha, raptownie powstał z za stołu ze słowami: „Piłsudski, Komendant główny sił zbrojnych całej Polski, wzywa was malkotentów do posłuchu i dziś nie wolno tobie, Marjanie, w tak poważnej chwili wygłaszać podobne teorie. Wprawdzie mam dziewiętnaście lat i jeszcze na niczem się nie znam, ale dla Ojczyzny trzeba oddać największy skarb Człowieka t. j. własne życie“.

„Daj spokój romantyku! Dziwię się mocno, że ciocia pozwala jemu pójść na niepewne drogi“.

„Jeśli Ojczyzna żąda — idźcie wspólnie razem. — Jemu nie mogę zabronić, ponieważ jestem matką i o tych nieudałych bohaterstwach o niepodległość śpiewałam Konradowi nad kolebką. Może wy dożyjecie tej chwili, że własnymi oczyma ujrzycie Niepodległą Ojczyznę, stworzoną własną pracą. Może będziecie tem pokoleniem szczęśliwców“.

„Tylko ciociu nie po tej stronie frontu, a po tamtej, gdzie Moskwa“.

„Marjanie, co gadasz. Moskal nigdy nie był bratem Polakowi“.

Marjan, zapalając papierosa i zakładając nogę na nogę, odrzekł: „tembardziej Austriacy, ani też Niemcy“.

„Nikt o nich nie mówi. — Sądzę, że liczyć trzeba na własne siły“.

„Czy ciocia myśli, że ta garstka warjatów z Piłsudskim na czele da radę wobec milionowych walczących armij?“

Konrad, zainteresowany żywą wymianą słów, z uśmiechem na twarzy zaczął tłumaczyć, że nie tylko siły fizyczne zdobędą tę upragnioną niepodległość, ale dusze poległych Ojców i nasze, które są stokroć silniejsze od tych milionowych armij, współdziałać w tem będą.

„Konradzie, twoja matka wierzy w nieśmiertelność i w potęgę duszy? Ha! ha! ha!“

Tak, wierzy!, że dusze poległych ojców i braci skupią się około „dyktatora“ Piłsudskiego i zwyciężą wrogów ciemności.

Gadaj ciociu banialuki, a ja nigdy w te słowa nie uwierzę i wolę pójść do austriackiej armji i tam przebyć krytyczny czas.

Po chwili wyrzekł Marjan słowa, przekonując o tem, że Dmowski nie próżnuje.

Konrad, przerywając Marjanowi słowa. „Ale źle i na zgubę Polski pracuje“.

Wtem nagle zadzwonił dzwonek elektryczny na kurytarzu. Wyszła służąca, otworzyły się drzwi. Z przedpokoju dochodziły słowa: „Czy obywatel Konrad jest w domu?“ „Tak, panicz niedawno przyszedł do domu z wycieczki“. „Proszę doręczyć pismo“.

Zatrzasnęły się drzwi, służąca podała Konradowi kartkę. Konrad, rzuciwszy swój wzrok na pismo, oświadczył z dumą, że dziś odjeżdżam do Krakowa. Wezwał mnie rozkaz „dyktatora“ do broni.

Marjan uśmiechnął się pod nosem i cedząc dalej słowa przez zęby, mówi: „Prawda, jakto brzmi romantycznie — do broni. Ładne słowa, ale co będzie później?“

Co może być później — odparł Konrad. Niewątpliwie Niepodległa Polska!

Przerywa Marjan całą rozmowę słowami: „Dość mam tych banialuków i tej niedorzeczności. Muszę wyjść trochę na miasto“.

„No ta. W twojem pojęciu to są banialuki, zresztą jesteś już pełnoletni, praktykujesz w swoim zawodzie i niezadługo zdawać będziesz drugi państwowy egzamin, ale to jeszcze za mało, mój kuzynie. Dusza w człowieku odgrywa wielką rolę. Kto ma duszę, ten ma i wiarę w odrodzenie Polski.“

Tak cioteczko, przyszła Polska może być li tylko autonomicznem państwem pod egidą wielkiej Rosji, ale nigdy Niepodległa, ponieważ w krótkim czasie zjadłyby nas Niemcy i Austria.

Tymczasem Konrad zabrał się do pilnego pakowania do plecaka rzeczy, które są niezbędne żołnierzowi.

Marjanie, daj pokój tym przekonującym bredniom, które w twojem pojęciu są dobre, a ja śpieszę się z gadaniną, ponieważ dziś Konrada wyprowadzam na daleką drogę.

Jest wprawdzie najstarszym synem jedynakiem i ból ściska mnie za serce, że jego w obecnej dobie tracę, ale mówi się trudno, dla świętej sprawy.

Dowidzenia cioteczko... Bądź zdrow Konradzie. Dzieli nas jeszcze cztery godziny od naszego rozstania, a ty Marjanie odchodzisz? Pamiętaj, że dawna Targowica nas zgubiła, a wy jesteście do niej podobni z Dmowskim na czele, lecz zgubić nas — nie zgubicie, bo duch czasu na ten eksperyment nie pozwoli. Z jakim obliczem staniecie kiedyś przed Majestatem Rzeczypospolitej, a trzeba będzie zdawać przed Nią rachunek sumienia i wówczas śmiało powiedzieć „Polsko, my Ciebie sprzedawaliśmy ongiś Moskwie! My zdradzaliśmy poczynania Komendanta głównego! Bijąc się w piersi jako skruszeni, szepcząc: mea culpa, mea maxima culpa“.

Marjan milcząco przyjął słowa Konrada, wychodząc z mieszkania.

Pani Milja, sprawdzając gorliwie plecak syna i dopakowując jeszcze trochę jadła i bielizny i innych niezbędnych rzeczy, pouczając Konrada o życiu, z którem się spotka po opuszczeniu rodzinnych pieleszy. Pod koniec dawała przestrogi i nauki, by spełnił swój obowiązek. Godziny leciały jak strzały, wreszcie nadszedł czas rozstania Konrada z domem rodzinnym, który był dla niego wszystkim.

Opakowany plecak powiesił na swoje młode ramiona z uśmiecham i podszedł do matki, która z rzęsistymi łzami radości i bólu, błogosławiąc Konrada na daleką drogę, wspominała o Bandurskim, który idzie z wami na pole chwały, jako żołnierz-obywatel. Do widzenia matko w Niepodległej Polsce, a Marjanowi jedną rzecz zakomunikuj, że dzień, w którym zwalimy pierwsze rosyjskie słupy graniczne, dokumentując w ten sposób naszą dziejową krzywdę wobec całego świata, stanie się kiedyś niepodległym świętem narodowym — świętem odrodzonego i wyzwolonego polskiego ducha. Konrad ze łzami w oczach opuścił nazawsze rodzinne pielesze, udając się na dworzec kolejowy, by zadość uczynić rozkazowi.

WICHER POLNY PONIÓSŁ PIEŚŃ...

Działo się to na początku wielkiej wojny europejskiej w pierwszych miesiącach pobytu I-ej Brygady Legjonów w ziemi kieleckiej.

Bataljon nasz po forsownym marszu zatrzymał się za wioską celem odpoczynku.

Godzina 12-ta w południe. Brać strzelecka, po złożeniu w kozły broni i po zdjęciu z siebie prymitywnego rynsztunku,

zaczęła po komendzie „rozejść się“ śpiewać piosenki wojenne, które z dnia na dzień, jak grzyby po deszczu, rodziły się wśród marszów i postojów I-ej Brygady.

Pełno w nich było uczucia, miłości Boga, Ojczyzny i kobiety. Zawierały tyle sentymentu narodowego, odzwierciadlały nietylko temperament i bujną fantazję ideowców, śniących o wojnie i przygodach z nią związanych, lecz przede wszystkim bezwzględne poświęcenie się dla Nieśmiertelnej i Niepodległej Polski, uosobionej się w czynie wojennym Komendanta.

Opodal stał stary dwór szlachecki. Staruszek, Grzegorz, sługa imci wielmożnego pana dziedzica, słysząc pieśni polskie, jak przez sen, nie chciał uwierzyć swym uszom, że może to być rzeczywistość. Wyszedł więc na dziedziniec, a głosy stawały się coraz to wyraźniejsze. Pograżył się w myślach, kierując swój wzrok ku błękitom i wydarł mu się z piersi okrzyk: „To Oni“! Mój Boże, dziękuję Ci, żeś mi przed śmiercią pozwolił widzieć nasze wojsko polskie“.

Łzy radości potoczyły się rzeźsście z oczu starca, wznoszące go ręce ku górze. Po paru chwilach Grzegorz opuścił ręce, sięgnął po chusteczkę czerwoną z białym szlakiem, by otrzeć łzy i równocześnie zbliżył się ku swoim.

Zobaczył młodziutkich żołnierzy, ubranych w błękitne mundury i w maciejówki ze srebrnymi orłami. Orły pod promieniami słońca imponująco lśniły, jakby w aureoli liści laurowych. Stary sługa podchodził do nich bliżej, czując sercem i duszą, że są to bracia z zakordonu. Powitał ich słowami: „Witajcie, panowie“.

Cwany Bartek z pełnym animuszem odpowiadał w imieniu kolegów: „Nie są to panowie, mój bracie, tylko równi sobie obywatele Rzeczypospolitej“. — Grzegorz podziękował mu za sprostowanie słów, wypytując się dokąd idą. — Wszyscy wznieśli okrzyk, jakby na komendę: „Bić się za Polskę“. — Zgrzybiały Grzegorz, zgięty ku ziemi, drżącym głosem wypowiedział swoje credo: „Biłem się za Ojczyznę w 1863 r., jako powstaniec z krwi i kości“ i zapłakał ponownie.

Wtem dało się słyszeć wołanie, głos kobiecy „Grzegorzu... Grzegorzu...“ Stary sługa, pożegnał się słowami „Do widzenia“ i szybkim krokiem pośpieszył zpowrotem do pałacu imci wielmożnego państwa.

We dworze panował gwar i zdeterminowanie, wywołane opowiadaniem sługi o tem, co widział na własne oczy. — Jasnie Pan Wincenty dał zlecenie starszemu synowi, Antoniemu, by poszedł

i zaprosił oficerów do pałacu. — Antoni bez namysłu wyszedł, poprawiając powierzchownie ubranie. — Zbliżył się do biwakującej braci strzeleckiej, wypytując się o oficerów. — Reluton, Stach, pobiegł do nieznanego pana, mówiąc: „Ja obywatela zaprowadzę... zapewne chce wstąpić w nasze szeregi strzeleckie?” Dotarli do miejsca, gdzie wszyscy komendanci byli zebrani przy skromnym posiłku, gwarząc wesoło między sobą. Stach zameldował najstarszemu: „Obywatelu komendancie melduję, że przyprowadziłem nowego ochotnika do naszych szeregów”. — Pan Antoni zaprzeczył tym słowom i w imieniu właściciela domu zaprosił ich do dworu. Garstka oficerów, których można było poznać po czerwonych sznurkach na mundurze, wstała, przedstawiając się po kolei nieznanemu.

„Skąd panowie idziecie?”

„A od Krakowa” — odparł obywatel Sęk. — Antoni zaczął wypytywać się o dalsze zamiary, lecz ten odpowiedział, że koleje wojny są zmienne tak samo, jak i nasza droga i plan działania, który wytknął obywatel komendant, Piłsudski. — Przysięgliśmy mu bezwzględne posłuszeństwo i spełnienie ofiary krwi dla wymarzonej, Niepodległej Polski.

Głęboko wzdychał. — Weszli do salonu. — Nikt nie wyszedł na ich spotkanie, ani też nikogo nie było w pokoju przyjąć. — Cisza panowała, jakby wszystko wymarło w tym domu. — Zebrani byli zdziwieni tym faktem i czekali z ciekawością, co będzie dalej. Po półgodzinnem oczekiwaniu wyszła pani domu z córką, w odświętnych ubraniach — czarnych strojach — jakby przygotowywały się do orszaku pogrzebowego. Za nimi szli Antoni, Stefan i Józef.

Po ceremonji i przedstawieniu się, panna Zofja, córka, usiadła do otwartego fortepjanu i poczęła grać „Warszawiankę”.

Imci pan dziedzic przemówił do zebranych w te słowa: „Panowie, co robicie, zastanówcie się, naród grzebiecie własnymi rękoma, wszak wy nie wiecie, że Jego Cesarska Mość Cesarz Mikołaj II akceptował manifest Naczelnego Wodza sił zbrojnych, Mikołaja Mikołajewicza, wydany do narodu polskiego, przyznający Królestwu autonomję. — Patrzcie, po tamtej stronie jest prawdziwa armja polska, która bije się...”

„Za autonomję — przerwał mu Konrad — panie dziedzicu, ha, ha, ha! My walczymy o Niepodległość, by stworzyć własny rząd, sejm i wojsko. Jednem słowem, chcemy być gospodarzami we własnym domu”. — Imci pan Wincenty z pobladłą twarzą, drżącymi wargami wyszeptał: „A co powie Europa?” Tadeusz szy-

derczo roześmiał się na głos, powstał z miękkiego czerwonego fotelu i dobitnym głosem rzekł :

„Niech się dowie, że naród nie został spodlony niewolą, lecz bierze udział w wojnie ludów, by całemu światu pokazać, że istniejemy, okupując swój byt niepodległą krwią najpiękniejszego kwiatu narodu“. Pan Wincenty usiłował perswadować dalej, że zagranicą są nasi politycy, którzy wykorzystają sytuację polityczną i o nas upomną się. — Konrad uderzył pięścią w stół, odpowiadając krótko, po żołniersku :

To są ci, którzy w 1912 r. upominali się w Dumie rosyjskiej o autonomję, rezygnują z Niepodległości, nie pytając się nas wcale o to, kto im dał pełnomocnictwo przemawiania w imieniu całej Polski.

Dziś znów przekłeta Targowica, jad praojców chce zaszczerpić w duszę młodej Polski“. Dyskusja przybierała coraz ostrzejsze formy.

Wtem odezwał się sygnał trąbki bojowej. — Przy dźwiękach „Warszawianki“, którą grała Zocha, Konrad dał hasło do powrotu, wskazując palcem drogę, na której formowała się kolumna strzelecka, rzekł : „Tam nasze miejsce“. — Wszyscy powstali, żegnając się czule z gośćmi. — Imci Pan wzniosł okrzyk „Kochajmy się“,... całując się z bracią strzelecką.

Na kwiecistym błoni uformował się bataljon, czekając dalszych rozkazów... Z balkonu odezwał się błagalny głos : Dokąd idziecie ? Wszyscy rozentuzjasmowani odpowiedzieli : „Na bój, na bój !“

Po paru chwilach wijąca się kolumna znikła w sosnowym borze, śpiewając : „Naprzód, drużyno strzelecka“.

Wicher polny poniósł pieśń po równinie, aż pod mury dworu szlacheckiego.

Szaleńcy !

ZYGMUNT OSTAFIN

MYŚL LEGUNA Z POD TATR W SŁOWIE.

Wysoko! — Na stokach „Uśmirenja“ Cytadeli warszawskiej, zawisły trupy członków Rządu Narodowego — Powstania Styczniowego... bo tak chciał car pomazaniec Boży!...

— Nie zapomniano jeszcze wówczas, podobnych trupów — z łaski drugiego pomazańca na stokach „psiej Górki“ we Lwowie!...

— Strasz było widmo Szeli-Meternicha... tak jeszcze wówczas niedawne!...

Żelazny Bismark — do terminu Polak — dodał swój własny : „wytępić!“ —

...On tak chciał, podczas gdy inni... tylko.. zsyłali : na Syberję, do Meksyku...

I — ład, zakłócony na chwilę przez zrozpaczoną a bohaterską, grupę starych... i... młodych — został przywrócony!... Polski przecież... nie było!!!!

Była prowincja pruska : Pomorsko-Poznańsko-Śląska...

Była : tak zwana... „Golicja i Głodomerja“ z „Wielkiem Świństwem...“

No i ...kraj — „Prywiślinja“ ...owe Królestwo Polskie...“

.

— Społeczeństwo — jak społeczeństwo...

— Jedni się modlili : „Ojczyznę — Wolność, racz nam wrócić Panie!“

A ten — co był ...arcykrólem i arcykapłanem, kazał się też modlić... ale za : ...Cara!... I za — kajzerów-königów... egipskiej niewoli namiestnik... Polski... nieznał!... Padł lęk, na biedne znękanе serca...!

— Aci — co... powrócili: hen!... z za morza!... z Meksyku!... zamiatali rękoma, które z sztyletem i... szczyt marzeń — z rusznicą w ręku — szli bić się o Polskę... ulice Krakowa!... Tak: zamiatali głodni śmiecie na ulicach!...

— Inni tułali się, — po bezbrzeżnej Rosji...

A inni jeszcze! — „Przy Tobie Panie stoimy! — I stać będziemy!” .. Wiwatowali trybem saskim pełnym kielichem... i ślubowali: — wytrwać przy najjaśniejszych z jasnych... i ślubowania dotrzymali... i po dzień dzisiejszy tam stoją...

Nie było Kościuszki!!! —

Chłop polski nigdy nie szedł na armaty rosyjskie!...

Nie było Olszynki i Stoczka...!

Nie było Styczniowej Nocy!...

Naród nigdy do boju nie wystąpił z orężem!!!

...Narodu ...wogóle ...nie było!!!

— W rozporządzeniach, patentach i ukazach, byli tylko ci... co gromadzili: guldeny — korony, marki i ruble... owe amulety szczęścia — i kłaniali się Bogom władnym na tychże wyobrażonym...

— Tylko jak za Mickiewicza, — tu i tam... Gdzieś w izbie studenta...

— Gdzieś: ...gdzie biło gorące serce... od cytadeli szedł szept... szedł jęk... cichy — dla serc nie dla mózgów... Szedł z kurzem krwi bratniej... i w dymie pogorzeli... Serce... zrywało się! — I wyzywało samego czarta! — nie tylko cara na walkę!...

— A gdy ręce opadały... bo carów było aż trzech — nucił piosnkę-pociechę — której nauczyła go Matka... „Gdy będę na osiedleniu, pojme córeczkę tatara: może ...w mojem pokoleniu zrodzi się Palen na cara!”

...Tak było — że... był zamach, zamach na samodziernę Wszechrosji i... króla Polskiego. — — Wmieszany weń — student medycyny: Józef Piłsudski... poszedł na wygnanie... na Syberję.

— Gdy... w mniemaniu czynników... do tego powołanych, ostygl już, w zamysłach „burzycielskich...” po sześciu latach zsyłki — wrócił.

...Wrócił ten idealista... Ten niepoprawny marzyciel — jakim to uparciuch — Ten chowany w obywatelskim, choć po powstaniu zrujnowanym domu Ziuk...

— Jakież On... nietaktowny!... Jakież... źle wychowany! ..

— Bohaterska ta Dusza — gotuje walkę!

— Walkę na śmierć i życie...

— Gotów jest zginąć każdej chwili za to co wyznaje...

— A zabijać carów... nie myśli: ..bo ...zabiją jednego, — będzie drugi!...

...Piłsudski ...w założonej przez siebie: Polskiej Partji Socjali-

stycznej — za wyborem współtwórców i towarzyszy jest jej głową... sercem... i rękoma! —

...Redaguje, drukuje i kolportuje „Robotnika” — organ swej partji.

Ale partja to... etap!

...Car ma wojsko i armaty. — Ma je król i cesarz... Mają je wszyscy trzej...

— Wszyscy trzej jednak, — — spotykają się granicami... wzdłuż których chodzą wojacy: z bagnietami na karabinach... w jednym punkcie...

— W tym właśnie punkcie wyrósł... jakby na pustkowiu zapomnienia — samotny w jałowizny piaszczach... smerek.

— Wyrósł uparcie... podskubany i okrakany przez wrony...

— Poeta-romantyk... umyślił sobie, jak najlepszy ogrodnik... smerek ten hodować: by wyrósł wielki, by miał cieniste gałęzie!!

— Widział w nim! w mozołę wyciągania z jałowych piachów... soków życiodajnych — Lud pracujący !!

Lud pracujący chce hodować...

— Nie dbał o to... że siadają na nim wrony i pajaki... rozciągają muchołowne sieci... Niech i tak będzie!!...

...przecież w tym punkcie — kończą się granice —

...W tym jednym punkcie, pod pnem i korzeniami, jest: Polska!..

— Kiedyś zawieje wiatr... pień nieznacznie podetnę...

I zwali się na koronowane łby...

I... korony złote wleżą w czerepy... wbiją się w mózg...

— Będą mieli to, co... ich stanowi: złote, drogie kamienie i... śmierć...!!

A — granice się rozpękną... i z popod na łby pomazane, zwalonego pnia!...

— Wzleci: — Wolny i Nieśmiertelny...

...Tak śnił i kręcił: maszynę drukarską...

— Jakże Piłsudskiemu było jednak trudno... I... wśród Swoich...

Miał przeciwników, miał ich w tych: którzy nie chcieli, nie mogli, czy nie umieli uwierzyć w wysiłek wielki — a rozpraszali się w drobnych — i utulali się — w międzynarodowym morzu...

...Carat czuł robotę — śledziła policja i żandarmi: długo — długo... aż wreszcie, drukarnię nakryto... Piłsudskiego aresztowano!...

...Cela nr. 16 w X Pawilonie — więzi nieprawomyślność...

Nieprawomyślność: — która Rosję — napawała lękiem powstórzenia powsiania 1863 Roku...

— Strach uczynił Warszawę, niedość bezpieczną, jako miejsce uwięzienia: toteż Piłsudskiego — wywieziono do Petersburga!...

..., „Ziuk“ jednak tak fachowo... udaje warjata! — że najbardziej fachowych, — bo specjalistów od warjacji przekonał -- uśpił ich czujność: i... zostaje wykradziony...

— Ten... który widzi: „Ekonomję wysiłku i cierpienia w niepodległości narodowej i politycznej“ — ten który: — nie chce jej ani wymodlić, ani wyżebrać — ani wyszachrować, ale zapłacić za nią krwią! — jest na wolności! —

— Myśl Piłsudskiego: — myśl Wolnej i Niepodległej Polski!... krystalizuje się!... Działa w Kongresówce, jest w Japonji i Anglii...

— Wreszcie... ujmuje — Złoty Róg — i dmie weń...!!! — Lecz...

...Uż na to psiego warczenia, szczekania i wycia się odezwowało???...

...Na głos wołania. — „Do broni!... Do broni!! — — Do walki za Wolność! — Do walki za Polskę! — — — A.. wojna światowa zbliżała się... Była: tuż! — tuż... Ta wojna, o którą modlił się Mickiewicz... no i... po swojemu geszefciarze... którzy... niestety — tę wojnę przetrwali — i daremno czekamy końca ich działalności...

— Z wybuchem wojny, nie był Strzelec, — to dziecię Piłsudskiego — jeszcze dojrzałym. — Jednak: „Pierwsze szeregi formującej się siły zbrojnej polskiej“ ...odeszły...

— Z Dziadkiem! — — — Kochanym Dziadkiem!!!

— Poszły na bój — na tułaczkę — na znój...

...Inni, co później wyszli, szli na życzenie wpływowych i „patryjotycznych“... osobistości, dalszą drogą...

— Lecz żołnierz tu i tam, był jednakim... tu i tam, był legjonistą, który kreślił... swym potem i krwią: „Dla Ciebie Polsko i dla Twej chwały...“

...Lecz tym drugim, brzmiał jako pobudka: nie — Złoty Róg... lecz... N. K. N.-owa „nowa ku... charka narodowa... Karjerowicze, denuncjanci i szpicle... byli wśród korpusu oficerskiego... Bolał nad tem Legun — — A ból wyrażał w pieśni, za którą Go gnębiono, — o tych oficerach: co za kupkami siana tkwią... a tym co te stosunki stworzyli rzucał w twarz: „Łajdacy wy, łajdacy wy! — Coście u góry stali — nam tylko został ból i łzy... Duszęście nam sprzedali!...“

— I... szedł... naprzód...

...Ulinę, Rokitnę, Polską Górę... ukazał się światu...

...Sam austriacki generał maciejówkę Dziadkową... musiał wdziać... bo by: ...inaczej leguny z nim nie gały...

— Ha! Przecie... Legjony... zostały... „befederowane” na: „Polski Korpus Posiłkowy!...”

— Austro!... Przepotężna Austrjo: cesarzy i króli! — którą miałaś: — prócz połowy Polski, całą Ukrainę połknąć, na co łobie, polskiego... korpusu posiłkowego trzeba było???... *Dziadku, czemuś kazał historii śmiać się???...!!!*

— I... przyszedł znów czas, za onych Dziadkowych dai — kiedy Wilhelm, ten sam; który rozkazał... niemieckiemu Bogu... ukarać Anglię — potrzebował też... polskiego „Wehrmachtu” — Ale tak korpus posiłkowy, jak — „Wehrmacht” więcej miały urzędników poborowych, jak rekrutów... i mimo, że się wzajem posiłkowali wiedli suchotniczy żywot nędzników! — a rozwijało się i rosło P. O. W.

— Przez Piłsudskiego nakazane i zorganizowane, było liczne, choć co prawda w melonikach... do wojska zewnątrznie niepodobne, tak, jak jego organizator ekryte, nieuchwytnie, przyczajone — i gotowe na bój do ostatniego tchu — wyczekujące stosownej chwili do podjęcia akcji!

Chwilę tą przewidziano już na początku ruchu strzeleckiego. — O chwili tej była mowa w tajnych rozkazach Piłsudskiego — wydawanych Strzelecowi jeszcze 1913 i 1914 latach. — W myśl tych rozkazów, trzeba było być na tyłach zaborczych armij, pożywiając się, oczywiście, ich bronią... i czekać rozkazu rozpoczęcia ruchu powstanczego, — który mieli poprowadzić — jako oficerowie, zaprawieni i wyszkoleni w bojach legjoniści.

Nad armjami zaborczeni, zawisła była, noc śmierci! — po której miał przyjść ranek dnia — narodzin politycznych: Niepodległego Państwa Polskiego!

— Śniony w on dzień wymarszu z Oleandrów, — który to wówczas dzień był dniem narodzin czynu, woli, czynu ofiarnego! — własnej krwi! — złożonego przez Demokrację Polską, przez... Lud Polski!...

— Wówczas to — na rozkaz Komendanta... wzięliśmy los swój w swe dłonie — a za nami poszli inni, — poszli... mimo frymarki, mimo szelmstwa... poszli po: Wolną i Niepodległą Polskę!...

...Właśnie nadszedł był czas, uderzenia na Austrię i Niemcy, bo — Rosja już leżała... tak jak to przewidział Komendant... uderzenia — armatami... rosyjsko-niemiecko-austriackimi!...

— Przyszła chwila podcięcia smereka! — Przyszła chwila — rzucenia ludu pracującego, P. O. W. zorganizowanego, na tyły

Austro-Niemiec! — A to równocześnie z uderzeniem z czoła — Korpusem Muśnickiego...

— Piłsudski miał objąć komendę...

...Plan zdradzono!!!!...

Komendanta i Jego Szefa Sztabu aresztowano!!!!... i wywieziono!!! — Legjoniści, pamiętacie, co się z nami wtenczas działo... byliśmy gotowi na wszystko nie bić się — ale kasać, byliśmy gotowi — i wtenczas teo i wy z Dziadkiem szliście do paki — wylapywano nas... za spisami... wylapywały nas „kanarki”... przychodziły wezwania i nakazy od „naszych”... władz... szkoda, że znany nam dobrze kapitan sztabu generalnego austriackiego. Milczy o tem... Łajdacy Wy! — Łajdacy... wy.. coście u góry stali!!!!...

— Ostało się P. O. W. w melonikach... którym hełmy stałowe rady nie dały... P. O. W. wylapać i zaaresztować nie było można!!!!...

Nieuchwytnie a tak groźne, że trzymało — znaczne siły niemieckie w Polsce, jako przeciw ważnik — i zatenczas Francuzi najazd zwycięsko odpierać mogli...

Aż wreszcie przyszedł czas — gdy przeważyła „zielona orjentacja“ na frontach: austriackim w Tyrolu — i niemieckim we Francji...

— Trzymali się jeszcze Niemcy i Austriacy w Polsce...

— Byli gotowi walczyć i chcieli walczyć! — i walczyli z kobietami wiejskimi, zdobywając: jajka, ziarno i szwininę... i z żydami, wyciągając od nich złoto... ale główny ich wróg był nieuchwytny... a spodziewali się go w każdym Polaku...

Już zaczęli nawet uczyć się polskiego języka... gorliwsi w tem, docierali do P. O. W. i do resztek niezaaresztowanych — legunów wiarowatych... i nie rzadko popłynęli z wodą — lub legli zasztyletowani lub pod kulami: leguńsko - peowiackimi...

Ten stan wyczekiwania... nerwowego, z jednej strony represyj na Polakach, ze strony Austro - Niemiec... z drugiej zaś „sprzątanía“ Niemców i Austrjaków... i trudnej do opanowania, chęci rozpoczęcia ruchu powstańczego na całej linii... trwał aż do wybuchu rewolucji w Niemczech i ucieczki... Wilusia!!!!...

...Piłsudski zwolniony z więzienia, w dniu Trzecim swego żywota, wraca do Polski, — wraca poraz nie pierwszy — ale już ostatni... Wraca do Polski takiej, jaką czynem wyśnił i wypieścił: do Wolnej i Niepodległej!!!!...

— Jakiesz ta Polska wówczas wyglądała?...

— Wojny z Czechami, bolszewikami i Ukraińcami...

Polska zrujnowana, ograbiona, bez pieniędzy, bez środków obrony...

— Temu wszystkiemu musiał podolać Jej Naczelnik Józef Piłsudski...

— Koło Niego zgrupowali się Leguni-peowiaczy — przy Nim stanął lud pracujący — mimo wrogich Naczelnikowi agitacyj... Przy Nim stało wszystko i wszyscy wierni synowie Polski, ramię przy ramieniu — najazdy odparto...

Uprzytomnijmy sobie, te przeżyte chwile... te wczorajsze już czasy, uprzytomnijmy sobie moment: kiedy to Rada Regencyjna Besselerowska... szczęśliwa że... jest taki... któremu ciernie władzy zdać można, — władzę oddaje...

— Zwołanie Sejmu! — Walki i... walki!!! —

...Najazd bolszewicki... owa rewolucja z zewnątrz, która miała Polskę położyć... Najazd nietylko odparto, — ale nawet przesunięto granice Polski na wschód...

...Uprzytomnijmy sobie: to plucie, szczekanie, kąsanie... z zewnątrz i z wewnątrz... to deprawowanie pismackie żołnierza!!! — to frymarczenie Jego krwią, którą On, ofiarnie za Ojczyznę i w obronie całości Jej granic przelewał...

— A jednak ta Polska, która wedle ich, gazeciarskich rachub podłych — zginąć miała... jest!!!! —

Jest, dzięki nieugiętości Wodza Naczelnego...

Dzięki wierze Weń żołnierza! — Który Go w uznaniu zasług Pierwszym Marszałkiem Polski obwołał... widząc w Nim zwycięscę... a nie w sprawcy głupiackiego cudu... i w błęństwach małych warszawskich... całujących na klęczkach ręce generała Weyganda...

— Polska jest!!!

— Wódz, co Ją organizował... w ziszczeniu snów pokoleń — które się pławiły męczeńsko w krwi powstań i konały w więzieniach i w katordze — to ten, co o Nią walczył całe życie... co Ją bronił do upadłego, to: Józef Piłsudski!!!

— Polska jest!!!

...Lecz dziś w tej Polsce smutno...

— Są ci... co przy tronach stali... i własny stolec szykują...

— Są ci, co egipską niewolę po świecie rozwlekli...

Monarchja z konkordatem poženili się... Króla im trzeba!...

— Król, — wzięłby pomazańca koronę... i płaszcz... Ten można płaszcz!!!

— Złodziejstwo byłoby królewskim...

— Nie republikańskim... bo to przy zapalonych latar-
niach... niezbyt bezpieczne!...

— Dzisiaj, gdy niema omal wyższego urzędu, gdzieby nie
kradli...

— Dzisiaj, gdy doniedawna jeszcze nędzarze w życiu za-
robkowym, od czasu mandatów poselskich, stali się bogaczami...
dzisiaj, gdy ich nikt nie pyta, skąd to wzięli...

...Dzisiaj trzeba Króla!!!

— Dzisiaj, gdy biedny Skarb Polski ma taki nadmiar... po-
słów i senatorów... ale, tylko... przy braniu djet... które sami so-
bie uchwalili... iluż to kardynałów, biskupów, proboszczów i wi-
karych świeckich i zakonnych, służących... partji bluźniącej Bo-
gu i Ojczyźnie... modląc się za mordercę Wybrańca Narodu...

— Dzisiaj, gdy ci... usiłują dyktować prawa wedle swego
wizjonizmu... Dzisiaj potrzeba Króla!!!... Tak... Króla!!!...

— Ale Króla - Ducha!!!

— A tym w Polsce — jest wybitnie jeden!

— Ten jeden... którego życie całe stroi purpura krwi — ry-
cersko przelanej za Wolność...

On to, jakby jabłko królewskie dzierzył w dłoni serce ludu
polskiego.

— A berłem niech Mu będzie... ta szpicruta... z którą wy-
szedł z Oleandrów...

— Niechaj rządzi, tnąc po karkach łotrów kupeczących... Bo-
giem i Ojczyzną w świątyni życia Polski... Niech pędzi ich za
próg kryminału!!!...

My, obozie uczciwej pracy — bez względu na takie czy inne
zabarwienie — bez względu na taką, czy inną przynależność...
stańmy karnie przy nim!!!

Niech włada!!!

Józef Piłsudski — owa mocarna Wola — ów heros Czynu
— i ten... z ducha najwyższy Dostojeźnik Polski — niech wraca
do steru!

Józef Piłsudski — Wódz Polski Zmartwychwstałej... Ten
Jej Król - Duch... NIECH ŻYJE!!!

STANISŁAW ZYGMUNT HIRSZEL

JAK CESARZ NA WSPÓLNY KOSZT Z RELUTONEM JECHAŁ

z cyklu : „Reluton ma głos“

A no, to było tak...

Jadę ja z Kamińska do Kozienic, a tu na stacji w Piotrkowie pociąg z transportem zwiął mi i zostaję sam jeden, jak ten palec.

Myślę sobie : albo jest wojsko, albo bałagan !

Więc, że nie było żadnych szarż, obejmuję nad sobą komendę i powiadam : „Na mój rozkaz! Oddział baczność!“ Ale, że dobry dowódca musi dbać w pierwszym rzędzie o lasunek, więc mówię: „Dyrekcja „Liga Kobiet“, oddział marsz“. Przybijam fest, jak na paradzie i walę wprost do wyjścia, a tu w drzwiach kanarek. Czekałże, bracie, myślę sobie, już ja cię wykiwam, nie bój się! Marszem oskrzydłającym ewakuuję dworzec, sforsowałem parkan i jestem na ulicy.

Fajne miasto ! Ale skombinowałem odrazu, że bez relutum nie da rady !

Posiedziałem dwa dni, żeby załatwić sprawy służbowe, to znaczy : wymigać się od paki, wyfasować relutum i wycygnąć marszrutę, (ale fajne dziewczyny w tym Piotrkowie, powiadam wam !) no i wybieram się wprost do Kozienic bez przesiadania.

Licho jakieś nadało, że wsiadłem do pociągu, gdzie jechały same madziary i ani oni ze mną, ani ja z nimi nie mogliśmy się dogadać.

Zdrzemnąłem się trochę, a kiedym się obudził, widzę, że wszystko, co żyje, wysiada z pociągu. No, to i ja wysiadam. Patrzę, a tu napis na stacji jak wół: „Budapeszt“. Rany boskie! myślę sobie, niech cię szlag trafi! A no, trudno! trzeba zwiedzić miasto.

Cztery dni zwiedzałem dokumentnie, aż piątego przydybał mnie sierżant z komendy placu.

Pomieszkalem w pace dwa dni, ale porucznik, porządny chłop,

dał mi marszrutę, kazał wypłacić relutum i wysłał do stacji zbornej w Wiedniu.

Myślę sobie, czemu nie! Można zwiedzić i Wiedeń. (Ale, powiadam wam, węgierki — pierwsza klasa kobiety).

W Wiedniu wpadłem, jak śliwka w gularz!

Od rana zbiórki, raban ci robią o byle guzik — cholera!

Staję do raportu zameldować przyjazd, a sierżant na mnie z pyskiem: „Dezterter“ powiada. A ja mu na to: obywatelu sierżancie, transport mi uciekł...“ Jak on skoczy na mnie: „tu, powiada, niema żadnych obywateli“. Nie mogłem wytrzymać i odpaliłem: „Tu niema obywateli, tylko same dekowniki!“ Szlag go trafił i wyfasowałem 7 dni.

Odsiedziałem ucieciwie, ale miałem dosyć Wiednia. Spakowałem do plecaka manatki i zwałem na miasto. Zabawiłem się trochę na Praterze, zaręczyłem się z fest wiedenką (niech się węgierki schowają) i walę w nocy na dworzec. Ledwom się dogadał, bo na szczęście był jakiś pepik, ale się dowiedział, że w nocy żaden pociąg nie odchodzi w stronę Kowla. Przyznam wam się, że już miałem dosyć łazikowania i pilno mi było wracać do Brygady. Raptem zauważyłem, że jakiś kolejarz otwiera sobie boczną furtkę — ja za nim. On zaś klaruje po szwabsku, ja nie, tylko się pcham na dworzec. On się zaczyna wściekać i pokazuje wciąż na pociąg, co stał na bocznym torze — wkońcu pogroził mi i powiada: „Stationskommando“. Zrozumiałem, że pójdzie naskarżyć na mnie, więc jak tylko odszedł, ja do onego pociągu i włączę do pierwszego wagonu.

Choleera! Powiadam wam, wagon, jak salon! W każdym przedziale łóżko zasłane, jak dla generała.

E, myślę sobie, pociąg stoi na bocznicu, bez maszyny, to do rana będzie się można zanie przespać, ażeby człowieka nie obudzili przypadkiem, to się zamknąłem w przedziale. Zdjąłem płaszcz i mundur i załadowałem w plecaku, a spodnie i buty zostawiłem na nogach, bo trzeba być w ostrem pogotowiu. Wlazłem pod kołdrę — mięciutko, jak w puchu... i zasnąłem.

Noc czarna jeszcze była, kiedy usłyszałem, że w wagonie robi się jakiś austriacki bałagan.

Raptem otwiera ktoś drzwi od mojego przedziału i pcha się c. k. kapitan. No, myślę sobie, wsiąknę. A ten coś zamamrotał, zasalutował, drzwi zasunął i poszedł. Oho, zna mores dla legunów, dobra jest. Nakryłem kołdrą nogi, bo mi buty wylazły i kombinuję, jak tu się ewakuować z tego pociągu, aż tu nagle ruszamy. Czekam tylko na konduktora i kalkuluję, jak się wy-

kręcić. Minęła dobra godzina, nikt nie przychodzi. Znudziło mi się czekać — usnąłem.

Budzę się koło południa — stukają do drzwi.

No, teraz to już będzie bałagan!

A tu zamiast bałaganu wsuwa łeb fagas w czerwonym fraku z szamerowaniami, jak huzar i gada coś po szwabsku. Zrozumiałem tylko jedno słowo: „cafel!” Ano, dobra, dawać te „cafel!” Fagas uklonił się i szlag go za drzwiami trafił.

Nie nie mogę skapować, co się stało, czy w nocy austriacy wydały befel, że wszystkich legunów generałami mianują, czy co?

Za chwilę wali fagas z powrotem, niesie tacę z kawą, śmietanką, bułkami i masłem...

Wtroiłem ci to wszystko pieronem, a kiedy fagas przyszedł zabrać puste naczynia, powiadam: Noch ein mal“. Przyniósł drugą taką samą porcję — wtroiłem. — Zaraz mi się lepiej na duszy zrobiło. Ale kombinuję tak: z tą nominacją na generała, to coś nie tego, bo żeby austriacy mieli taki rozkaz wydać, to leguny wiedziałyby, jak zwykle, na miesiąc naprzód.

Po śniadaniu przespałem się, potem zjadłem dwa obiady i trzy leguminy (wcale fajne!).

Na stacjach witały nas kompanje honorowe austriackie i niemieckie, generały, pułkownicy... Jeszcze nic nie kapuję.

Pod wieczór pociąg stanął — wyglądam oknem: Kowel. Fajno jest. Ubrałem się, a tu na dworcu jubel! Same generały austriackie i niemieckie; stoją na baczość, a z mojego pociągu wysiada jakiś młody ofik austriacki, ze świtą. — Skapowałem: to w moim pociągu jechał cesarz Karol! No, niech go tam, nie mi nie przeszkadzał.

Ale tu ci wsiąkłem, jak lapis w nosie. Nie mogłem się doczekać końca tego bałaganu i wylazłem z wagonu. A tu do mnie, jak się rzucą same pułkownicy, generały. Aż mi wszystkie cesarsko-królewskie gwiazdki w oczach stanęły.

Aha! myślę sobie, to pewnie o to, że nie salutowałem. No, najgorzej! Będę ja ci dziadów austriackich salutował, niedoczekanie wasze!

Napyskowali się, nakrzyczeli, aż ochrypli.

Potem, to mnie trzymali na dworcu, a obstawili wartą honorową, ze wszystkich stron. Aż na drugi dzień wchodzi kompanijny, a za nim znów cała sfora austriaków. Napyskować się nie mogą, aż posinieli ze złości.

A mój kompanijny na mnie: „Co wy, powiada, za bałagan

robicie, cesarskim pociągiem z Wiednia zachciało się wam jechać!“
Niby się gniewa, ale widzę, że mu się strasznie śmiać chce.

Wyciągnąłem się na baczność i powiadam :

„Obywatelu kompanijny, melduję posłusznie, że ja pierwszy do pociagu wsiadłem, a że się cesarz austriacki zabrał ze mną na wspólny koszt, to ja mu przecież nie kazałem — żeby mnie tak szlab trafil, jak prawdę mówię“.

„JAKO STSELCI BEZ PORONON IŚ MIELI I JAKO WEJ
PRZEŚLI..“

(Łobrozek na śkle).

...Pudem! — Kwadro rzuk Walek Pytoc — kie sie porwol z ławy, miedzy łoknamy honornie siedzoncy... ratułowianke mosienzom pykajency, z kłabucke na cole i rencami w przyporak...

— Łodechnena sie Kaśka — za nim łakomie, wylupiatu łocami poźrała — i tyz sie z siedzoka poderwała — ka kluske warzonom skwarkami hrubo krajanemi maściła — bo juz słodke mliko, na stolicy w gorcku stoło.

— „Ckoj Walek!“ — ku nimu wrzasła — i z miskom ku drzwirzom skocyla...

— „Ckoj pośniodos!“

...Haj — Walkowi ta beło w meśli śniodać... kie sie iś zawzion! — Widno zły beł...

...Bo jom „Wyliz mi“... pozdrofkoł... i drzwirzamy łod sieni łupsknon... i poseł —

...„Poseł bo poseł!... ale ka?? — Tego pierona ponieśło zaś... Haj! — Powi un ci ta... powi: jako pedzioł... za syćko dobre!...“

...Zawróciła łod drzwirzy... pońcuchamy po dylak sule... strasnie kieby zalonkniono kroce... ku stoliel przisła — miske z kluskom hrubo masconom na stolici postawiela: — ale ji tyz nie temu... coby jadła — baze coby strasnie cosi ozmeśluwała... bo sie powadzili... siadła.

A rada go widziała!... Oj widziała!...

— Walek strasnie piknie pytoł... kieli toncerz... a bitnik!...

...Nie beł un ta pirsy, ani pirsy z brzegu... ale parobek... parobecek zamięlowany!! — Jakigo nie nondzies!

Ale: un sie ta wróci!.. Wróci!.. Tak se ta namysłuje, tak sie ta ciesy...

— I nos kułakem — a Łoce wysywanom kosulom łotarłsy, jena kluske łyskom, skwarki palicamy — takie wielge bely — jeś i mliko chlipać...

...Ale ji ta jodło nie sło do nuka! — Roz poroz łyzke łobli-
zawsy, łodkładała...

— Biadkała!

„Ej mocny Boże!.. Mocny!“

— Kiedy prziseł to prziseł... wse miół — wse dobrze!! — Nie
holofikał ...ino dziś!

— Kiedy pytoł wse miół wse! — A dziś jako ni pedzioł! —
Jako mi pedzioł?

„Za moje dobre... za moje dobre... Jancykryst!!!

Dryć sie jena! — Jaze zgiełcało! — Siby zbercały, kocisku
kłacyska wyprzały — bez łekno hipłe, kekoś wygdakiwać jena...
ciele wstało na racie: pemekiwało... Łegun dźwignowsy, lebe łopu-
ściwysy, ku ni sie zwyrtło... dokrzyty głupie — karakuny pod piec
uciekły... płoscyce głembi w spary corno izby właziły... Jino...
tak z dalsa... bez spary w meu pozirały...

W te kfile... drzwirzesie ozwarły, w izbie wsunena się Jagna,
a za niem po pod drzwirzy łocap... whipnon Jontek! łop trzek
łokci zwyż!... Jednym krokiem. ...Bezmała środka izby siongnon
i jako przistało huknon: „Pokfolony!“

...Widno kaści w karcymie miół być! — Moze: u Tadygo na
winie, cy u Kuby? lebo tyz... „Za wodom“ ...na gorzołce...

— Ku Kaśce skoczył... i poboskać jom fciół... ale mu sie nie
dała!!!! — ba go w kufe trzasła i na pościeli przycupła...

Smatke na coło zesunąwszy, pod brodom węzelka — nicem
zapory w drzwirzach — przyciongnąwszy, siedziała... Ale beła! —
Ej zło!!!

„Kaśka złość?...?..

„Złom!“

„Pierze ło dyle...“

„Hi, hi, hi!“ Zwidziało sie to Jagnie!

...Ku ni sie przysiadła — i jena jom łobłapiać... jena jom
bośkać...

— Tak ze Kaśce, sie złość dokrzyty łodmienila... i wroz z Ja-
gnom sie śmioda...

— Jaze ciele rapciamy cupkało...

„Jantek zaś łoce wywaluł... po izbie sie katuloł, jako sie mieć
nie wiedzioł: — nie wiedzioł jako jim pedzieć!... A osędziny poso-
bie pokazać zaś ta nie fciół...

— Wreście gęśle na ścianie dożroł — i z kołka zjon...

„Kaśka pri sam Bogu dzifki kęs“ myśłoł se bo chłaśnieńcie
w kufe cuł...

A une sie mogły z nicygo, ale sie śmiały... tak sie strasznie śmiały — jaze jedna drugom psypuściła...

Jantek zdajoł... wyzdajoł jako sie patrzy... Rod gruwół... Rod buwół kie go śliseli... beł se to: honorowy parobiecek... i Walka siarcisty towarzis!!!!...

...Pozbyrkoł na strunak... Smeckem... roz drugi i trzeci pociongnon i grać pocon — jaze dzifki ścichły...

Groł se ta — tak se ta... Sabałowe, staroświeckie... seleniajacie...

Jakie jino se namyślał, zbójnickne... freirskie... A dzifki rade beły co telo piknie jim groł...

— Jaze Jagna Kaśce pedo: „Pódź — a Jantkowi: — „Groj“

To łun jim groł, a une tończyły do śmi-u... Ze coze mioły robić kie jim groł...

— Jino roz kielo coś... ftoroś przisiwała... Coło zapaskom, lebe tyz renkawem kosuli łotarła — kie sie do imentu zgrzeła...

Tak sie ta utończyły, jaze łobie przy nim na pościeli siadły...

— Jantek złyś?

„Ni!. Bez co-byk sie ta miol zlić?!“

— „Ze... bezto: cok cie turkła!...“

„...Ze jino przecie z mielości!? — Ni, ba haj?“

— „Przecie! — Haj i pyska ci dom... I... jesce... Haj — hu, hu, hu!“

— „I jo tyz... Ba jakoz! — Hi, hi, hi!“

„...Locego ni?! — Jo przecie rod posługujem... He, he, he!!!“

— Jeny go tylo pucyc jaze wołoł „Zmiełujecie sie dzifki...“

„...Końdek!“...

„...Kuńdecek!!!“...

Ni mogli spać telo kohut pioł...

— Telo pioł... co cud!

Locegoz ni miol pioć? — Kie złokrew miol grzebień!... Wicie... Haj!!!

...Juz sie namieniało na świtanie, kie wej zacneni...

...Wiera... Spali — dej spali...

*

Mijały godziny — ludziska się krzątali w piękny słoneczny dzień, a oni — o tem nie wiedzieli nic, aż dziewczęta zbudziła pieśń.

„O mój rozmarynie rozwijaj się“...

„Ślisisz?!“

— „Ślisem!!! — Śpiewanie!“

„....Wyżrejze bez spare!!!“

— „Wojaci! — Pódź — požryj!!!“

— „Strzelci! — Na mój dusiu! — Strzelci!!!“

„....Prowde godos!... Baj toć!!!?“

„Ze coź ta haw wypatrzujecie dzifki“ — ozwał się i on...

A pieśń huczała...

„Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej...

Zapytam się...

A jak mi odpowie: nie wydam się...!

— Ułani werbują, Strzelcy maszerują:

Zaciągnę się!...

Porwał się Jontek.

„Eh!... Weredy! — Jako se masirujom... śpiwajency!

A jo haw: nie wim, kie słonko sie telo wywysyło!

Buwojcie mi zdrowe dzifki!!!

„Cekojze!“

„Mocie cas! Mie pilno!“

— „Kaz znów?“

„....Ku nim!“

— „Kiez???“

— „Jus!!!“

„Dadzą mi konisia bułanego

Dadzą mi konisia bułanego!

I... ostrą szabelkę — i ostrą szabelkę...”

Dzifki pożrały na się — luto jim sie cegoś zrobieło...

Obląpieły sie rencami... I wroz bekły!...

...Jantek za tela złoź ze sopy... i kie sie łobeźrały już go nie beło!...

— Poseł i un!?

— Ba poseł!!!

— Za Walkem???

— Ze za Walkem!!!

— Ftoz nos bedzie ciesył?!

— Ze ftoz?...

— Zabijom ik!!!

— Zabijom

— A moze sie wrócom?—?

— A moze...!!!

„Strzelci Podhalańsci sikujecie sie ziwo!...

Porwały się dziewczęta, zwołały rówieśnice — za oddziałem pobięły...

Rwąc po drodze, co mogły w ogródkach, które wypielegnowały — kwiecie... I... obsypały niem Strzelców...

Łapali całowne kwiaty junacy, maili nimi czapki... i piękni i ukwieceni i z pieśnią... weszli do miasta!...

„WISIELEC” PIERWSZEJ BRYGADY.

Wspomnienia legionowe

o ADOLFIE NOWACZYŃSKIM.

Było to w roku 1917, w trzecim roku po 6-ym sierpnia 1914 r., od którego zaczyna się kalendarz legionowy. I p. p. Legionów Polskich, z dowódcą pułkownikiem Rydzem-Śmigłym stał podówczas w Modlinie.

Pewnego pięknego popołudnia do adjutanta tego sławnego pułku przyszedł szeregowiec dyżurny (on-że „obywatel”) i zameldował: Obywatelu poruczniku melduję posłusznie, przyszedł jakiś i mówi, że ma list do naszego obywatela pułkownika, ale mi się widzi, że to abo żyd, abo śpieg, bo rudy je i oczy ma w świder, tako jakosie uferma, że ażę mdli.

Stawiona przed brodate oblicze adjutanta uferma, okazała się istotnie „eufermą”. Wielka ruda głowa, nakryta maciejówka, z wypustką kawaleryjską, spoczywała na cienkiej brudnawej szyji, wyzierającej z kurtki ulańskiej o kołnierzu obliczonem na normalnego człowieka, a wogóle na ową „eufermę” za szerokiej i za długiej. Nogi cienkie, zlekka jeno pałakowate, obciążnięte były w portki ulańskie, zwisające nisko, stopy zaś tych nóg obute były w półbuciki. Smutne wspomnienie łydek bez owijaczy додаowało interesantowi, zapowiedzianego przez obywatela dyżurnego, niesłychanego uroku. Ta ci to postać gięła się w uprzejmych ukłonach, prosiła pokornie o przyjęcie listu, miała bowiem „jakisi” list.

Wkrótce adjutant, chory od powstrzymywanego śmiechu, otrzymał polecenia.

Postać „ruda i świdrowata” dostać ma przydział do kompanji rekruckiej porucznika Młodzianowskiego (późniejszego ministra spraw wewnętrznych)

Przy pierwszym powierzchownem badaniu, okazało się, że „euferma” zgłaszająca się do pułku piechoty w portkach ulańskich (z lampasami, a jakże!) jest osobą aż nadto, na bruku krakowskim znanego „literata”, który wyemigrował do Kongresówki

i osiadł na stałe w Warszawie. Literat, obowiązany do służby wojskowej, poszukiwany przez świetne cesarsko-królewskie władze, a może nawet przez obydwie: i cesarskie i królewskie, bo nie o byle jakiego wojaka chodziło, pożyczył sobie u miłosiernych legjonistów różnych części garderoby składzik cały, i uciekł do Modlina. Wiedział ci ten „świder“ dobrze, że gdy chodzi o ukrycie kogoś przed nieświadrowałem a groźnem okiem austriacko-pruskiem, juści zaraz robią to leguny najlepiej, skutecznie, z przekonania i przez te figle, co ich zawsze się trzymały. Wyżebrał ci więc od obecnego generała Rydza-Śmigłego, literat, nazywający się Nowaczyńskim, przydział do sławnego pułku pierwszego legjonów i schronienie jako takie przed frontem, gdzie to kule biją, nie wybierając, czy kto rudy, czy ma oczy proste.

Następnego już dnia, od wczesnego ranka, figura na nóżkach pałakowatych, z imitacją lydek, niechlujna, z głową, jak się rzekło, rudą, okutaną ręcznikiem, i opatuloną jeszcze jakąś szmatą flanelową, oczekiwała w bezustannych ukłonach w kancelarji pułkowej, gdyż zgłaszała prośbę posłuszną o inny przydział. Postać, o której się wspomina, świadczyła, że powietrze w koszarach jest nie do zniesienia, a pozatem żołnierze opowiadają takie koncepty, że on bądź co bądź znany literat zasnął o północy, a spał tylko do pobudki, a więc do piątej rano, i to trzęsąc się jeszcze ze śmiechu, dzięki czemu główka go boli i w cynaderkach jakieś kłucie odczuwa. Prośbę rozkosznego rudaską potraktowano zveczliwie i z dobrą wiarą. Literacina dostała przydział w kancelarji pułku, tam też łóżko, no i lepsze towarzystwo.

Test ci rzecz historycznie stwierdzoną, że w formacji zwanej I Brygada Piłsudskiego, człowiek długo przy rodzonym nazwisku utrzymać się nie mógł. Zyskała więc sobie „euferma“ świdrowata miano „Ambasadora“, a oto dlaczego? Siedział ci Adolf Nowaczyński „z domu“ Neuwerth nad stołem dzienników, z których wycinał następny, naklejał je na paski czystego papieru i gryzmolił coś tam bezustanku. Nadto „obywatel“ Ambasador nad puszka skwaśniałego klajstru, a zrzadka się myjąc, zarobił sobie w pułku na opinie największego niechlujia.

Wreszcie stał się przedmiotem przedziwnych dyskusyj na temat: ażali Ambasador, onże Adolf Neuwerth-Nowaczyński jest kurtwizowany, czy też nie?

Wymagało to dyskusji i roztrząsań, bo trudno było odrazu stwierdzić, skoro nie myjąc się, nadomiar nie kąpał się też przy ludziach, a i sam na sam też nie?

Dyskusja zaczęła się z powodu zgoła nieprzytomnego. Jakiś

tam z wykształceniem uniwersyteckiem orzekł, że Ambasador, wycinając całe szmaty z pism krajowych i zagranicznych tak je dla swojej redakcji preparuje, że wszystkie uczciwe myśli pracownice przeinaczając a fałszując — szpeci.

Rzeczywiście — wtrącił inny legun — czemu sam wszystkiego nie pisze, tylko wycina a wycina ?

— Bo ten Ambasador — rzekł trzeci — to kurtyz! Raz w życiu go obcięto, więc on teraz przez całe życie się mści!... Obcina i wycina... Tak rasowy Szajlok.

Wiadomo: leguny gadają pomiędzy sobą, dla samego tego gadania, ale rzecz się wydała godna zastanowienia, a stąd dyskusja.

Ktoś próbował tę dyskusję w ten sposób rozstrzygnąć, że Ambasador kurtyzowany nie jest, albowiem urodził się już, o dziwo! odrazu jako kurtyz, boć nazywa się Neuwerth von Wertheim, drugi znowu twierdził, że Ambasador naprawdę się nazywa Nowak Werthezhaza, i kurtyz jest pochodzenia węgiersko-czeskiego. Stąd do Czechów słabość mający. Nie była to opinja w sławnym pułku pierwszym oficjalna. Różne ludzie mieli wątpliwości, a że pułk był pierwszo-brygadowy, myśleć głową komendanta przyzwyczajony, więc stąd szalona myśl, by przy pierwszej sposobności zagadnąć chytrze komendanta: Ażali ten Ambasador, z łaski pańskiej pułkownika Śmigłego w brygadzie przebywający, — kurtyz jest z żydów pochodzący, czy też uczciwie Nowaczyński ?

Jak tam komendant powie, tak będzie, bo inaczej nigdy w pułku nie bywało. Wpadł ktoś jednak na taki pomysł:

Dyć — powiada — o belę kurtyzowanego do komendanta nie przystoi chodzić. Księdza kapelana trzeba zapytać. Poszła więc delegacja do Kapelana, który zastawił się rękami: „Precz! Precz! Znowu jakieś świństwa mówić będziecie“. Jakby kochana świętość przeczuła, że o Ambasadora chodzi.

Wysłuchawszy dobitnie rzecz całą, rzekł ksiądz kapelan, że żydów w Brygadzie Piłsudskiego niema, bo kto z nich ma krzyż I Brygady „za wierną służbę“, to jakby indygenat szlachecki dostał.

— Kiedy — wtrąca ktoś — księżu kapelanie, ten właśnie Nowaczyński odznaki brygadowej, jak księdzu wiadomo, nie ma. Z tydzień tu dopiero jest i do tego rudy...

Rudy, powiadacie?... Prawda, że rudy... kolor istotnie nie katolicki. Księdza kapelana poczęły ogarniać wątpliwości...

Ale też, moi kochani, rudy, powiadacie?... To źle... ale znowu, widzieć, Niemcy są takie rude, obrzydliwe, a katoliki...

To, obywatelu kapelanie, Niemcy, ale Polak-Katolik taki rudzielec, oczy w świder... Ciągłe wycina i obcina przez mściwość.. Chyba nie katolik?

Chyba nie, jak tak powiadacie... Na moje sumienie tego brać nie mogę. Rozgadacie swoim zwyczajem, rozniesiecie, że to żyd, a on może katolik...

Kapłan jestem, gotówem owieczki ku chwale Kościoła przysparzać... Broń mnie wielki Boże, żebym katolika w żyda obrócił!

Aż się w strachu przeżegnał. Wtedy leguny społem przy kapelanie na kapelana. Cóż to jest? Co to za ksiądz, żeby z jednego wejrzenia, katolika od żyda nie odróżnił? Może nie mówić, że Ambasador żyd, ale niech powie, czy katolik? Od takiego księdza lepszy rabin. Pierwszy lepszy rabin, nie chybi w żydzie, a ksiądz nie wie, kto katolik! I to jeszcze kapelan z 1 ej Brygady! Z pierwszego pułku! Z takiego pułku! Do pułkownika! Albo kapelan, albo my! Nie do pułkownika! Odrazu do komendanta! Tak! Do komendanta! W niedzielę na mszę, noga leguńska nie stanie! Spowiadać się będziemy księdzu w piątym pułku! Od spowiedzi w własnym pułku uciekać! Taki wstyd! Taka hańba! Przez takiego kapelana! Jakiego kapelana? Toć gdyby Chrystus Pan na ziemię zstąpił, a żydy wzięły się do krzyżowania, to on to na katolików zwali. Nie odróżni! Uferma nie kapelan! Do klasztoru z nim!

Ksiądz kapelan uszy zatkał, a potem po długich targach stanęło na tem, że ksiądz pójdzie do kancelarii pułkowej, i przyjrzy się badawczo „temu Nowaczyńskiemu”.

Na moje utrapienie ten człowiek zjechał... Serca macie złote, ale pyski plugawe... Zawsze się modlę za was. Żyda se wykryli... A niech se będzie i żyd... Mało to ich w Polsce!... Bóg was za moją mękę pokara... Wytraci... I modły nie pomogą... Domine Deus... Sukienki kapłańskiej, zbóje, nie uszanujecie...

Długo czekali na powrót kapelana, nie wrócił ci zwyczajnie ksiądz kapelan, lecz wpadł na swą kwaterę... Okazało się bowiem, że ktoś po drodze księdza uświadomił i oświecił. To też wpadł on, wcielona łagodność, zacność wcielona, jak tygrys rozjuszony pomiędzy legunów i z podniesionymi rękami począł wołać: To nie żyd! To nie żyd! Kiedyście się krwawili i męczyli przez trzy lata, to on czekał i czekał. Legjony poniewierał, idej naszej bluźnił. Komendanta szarpał! Krwi tej polskiej nie szanował! Znoju i trudu nie dojrzał! Nie chrześcijanin! Nie katolik! Gorszy od żyda! Wisielec, wisielec, wisielec!...

Stanęło jednak na tem, że z wiary nie jest ci Adolf-Ambasador-Nowaczyński, ni żyd, ni katolik, lecz wisielec rasowy.

Ten ci to Ambasador zapuścił korzenie w kancelarji pułkowej, jadał w kasynie oficerskiem, opowiadał niestworzone a sprośne kawaly, i zasmradzał izbę, w której mieszkał. Od ćwiczeń wszelkich zwolnion był z łaski pańskiej.

Jednem słowem : Jadł leguński łaskawy chleb, ową „pruską menaż“, spał, nie nie robił, cudze myśli przeinaczał. Cytował po swojemu, jak wisielec.

Wkrótce wsrubował się do dowódcy pułku, pijał kawę lub herbatę Rydza-Śmigłego, żarł suchary, chleb z masłem, bułki, od czasu do czasu ciastka. Nie dławił się, Adolf Ambasador Wisielec trojga imion Nowaczyński „z domu“ Neuwerth, tym chlebem ! Smakował mu pierwszo-brygadowy chleb legjonowy ! I za ten chleb gościnny, odwdzięcza się po dziś dzień Brygadzie. Rydzowi-Śmigłemu i swojemu dawnemu pułkownikowi nie jak żyd, nie jak katolik, lecz jak wisielec. A zdawało się, że chlebem się udławi, lecz pochlebstwami dla dowódcy 1 p. p. Leg. Pol. i pułku. Całą t. zw. „Akcję przysięgową“ aprobował łaskawie, właśnie on, ten wisielec, był pełen entuzjazmu, zachłystywał się z zachwyty nad solidarnością żołnierską, nad determinacją i męstwem. Użał się przytem na wikt, więc podczas ideowych gawęd, wyskomlał sobie obiad w kasynie oficerskiem. Pożerał w bocznej ubikacji porcję oficerską. Nie dławił się wcale, smakowała mu ta porcja „narodowo-komunistyczno-bolszewicka“, dobra mu była, bo też kałdun nosił pełny, sypiał coraz dłużej, mył się coraz mniej, smrodził coraz więcej, a co to robota, nie wiedział.

Aż sprawiedliwy Pan Bóg wyciął w ten dobrobyt wisieleca piorunem. Na wszystko patrzył swemi oczyma „w świder“ obywatel Ambasador... Widział jaką odprawę dostali delegaci Rady Stanu... Widział białego Januszajtisa, widział płaczącego Grendeszyńskiego, widział szable oficerskie, lecące im do nóg ! Słyszał okrzyki : „Precz ze zdradą stanu“ i niech żyją nasi oficerowie... Widział zwarty, moeny, groźny czworobok żołnierzy, niechęcych przysięgać Niemcom...

Po dziś dzień, że pierwszy cisnął szablę Młodzianowski. Niezapomniana historyczna chwila — powiada... Wielkie dzieło historyczne — mówi. Nie macie perspektywy historycznej — głosi. Jesteście żołdaki... Sami sobie nie zdajecie sprawy ze swego czynu historycznego — deklamuje...

Zdawało się, że to on, Adolf z Neuwerthów, słowianin Nowaczyński te wszystkie historyczności wyczynił, a teraz się chwali...

Za te historyczności uwięziono komendanta z szefem Sosn-

kowskim w Magdeburgu, żołnierzy komendanta wysłano na głód i poniewierkę do Benjaminowa i Szczypiorna, a „galileuszy“ do „glidów“ austriackich nad Pławę, na włoski front.

Jak się ty wtedy bałeś Aryjnowski.

Do dowództwa pułku przybiegł zadyszany Ambasador i począł gadać jak najęty, jakby miał za to dostać dwa obiady. Jaki ty byłeś Piłsudczyk, Adolffku? Coś ty, Neuwercie wtedy nie powiedział dobrego i wzniosłego, szlachetnego o brygadjerze i Komendancie Piłsudskim i pułkowniku Bydzu-Śmigłym! Jak tyś sobie zarobił, opisawszy to!

Miałeś bańkę, nietylko kleju, lecz i bańkę wazelinę. A w zanadrzu chowałeś już guano późniejszego obryzgiwania niem tego, coś głosił za święte. Tyś wtedy przeczuł, chlebem naszym wypasiony, naszą pańską łaską Piłsudczyków nakarmiony. pieśń „My pierwsza Brygada“ na nutę „Blauen Huzaren“, ty ołermo, jakiej świat nie widział, rudaku z maści, a wisielecze z wiary.

Ta to postać tak rycerska, że poszła do komisji gospodarczej, pozostającej w Modlinie... „Rasowy“ wstręt do wojaczki popchnął go w kierunku przeciwnym od włoskiego frontu, od niedoli obozu jeńców. W tej komisji gospodarczej żarł „pruski“ chleb przez parę miesięcy i tworzył, on, obywatel Ambasador, wraz z dwoma inwalidami, jakby się rzekło, „jaczekę belwederską“ już nie „staro-belwederską“, ale znowu i na bardzo długo, „nowo-belwederską“.

Tam ryczał od czasu do czasu na nutę „Die blaue Huzaren“ naszą dumną pieśń: „My pierwsza Brygada“.

Stamtąd jeździł do Krakowa jako posłaniec Piłsudczyków. Gębował zajadle w lokalu „Kultury Polskiej“, Kraków, Florjańska! I długo nosił mundur 1 p. p. Leg. Pol. jedyny tego sławnego pułku żołnierz... ze strachu, ze strasznej cykorji. Aż w pewnej chwili poczuł, że może być niebezpieczno, i całkiem zwyczajnie zwiął. No, zwiął i koniec! Zdezerterował z kretešem. Jednak złapali! Podłe kanary, czyli żandarmy — złapały. Sądziły, trzymały w pace!

Ale my, Piłsudczycy, i wtedy jak mogliśmy, ratowaliśmy cię, obywatelu Ambasadorze. I ostatnio, tak niedawno, nie ukręciliśmy ci łba rudego, choć mogliśmy to zrobić, tak, jak możemy każdego poranku, każdego wieczora... Żyj sobie i chodź na spacer z naszej łaski pańskiej. Kiedy będziesz głodny, damy ci żryć, znów ci kałdun będzie rósł.. A gdy przy nas choć słówko niemile szepniesz o endekach, weźmiesz po gębie, a gdy powiesz o nas co dobrego — weźmiesz po raz drugi!

Pamiętaj: ilekroć będziesz w niebezpieczeństwie, lub głodzie,

odwołaj się do nas, pierwszej Brygady, do nas, Piłsudczyków. Byłeś o nas piśał, tak, jak dotąd...

Chcemy, aby wnuki nasze, twórców czynów w Polsce, wiedziały o tem, że mieliśmy wśród wielu zajęć czas i na to, by przejść do historii z karmionym przez nas „Wisielcem“, z naszym własnym pierwszo-brygadowym „Wisielcem“. Bo z czegobyś żył, nasz własny Ibusiu, gdyby nas nie było? Z nas żyjesz! Za nas ci płacą! Więc żyj, tyj, myj się wreszcie obywatelu Ambasadorze i przyjm to wspomnienie na 6 sierpnia, datę, dzięki nam historyczną. Bo z nami przechodzisz do historii, przez nas i tuczony, Wisielcze. Musisz nam trwać jeszcze, musisz nam trwać, musisz przetrwać wszystkie nasze „historyczności...“ Ty, obywatelu Ambasadorze, nie pochodzisz z porządnej zapewne rodziny żydowskiej Neuwertów, tak tylko na żarty o tym kurtyzie, ale choćżeś Aryjczyk rudy i świdrowaty słowianin Nowaczyński, jesteś gorszy od najgorszego żyda, boś z wiary wisielec.

STANISŁAW ZYGMUNT HIRSZEL.

DWA FRAGMENTY Z PAMIĘTNIKA.

I. Przejście granicy.

Noc z dnia 11/12 sierpnia 1914 r.

Po dniu upalnym zapada parna noc sierpniowa.

Na łące, wzdłuż toru kolejowego, jak okiem sięgnąć, płonie rząd ognisk. Długi szereg kozłów ustawionych z „Werndli“, a przy nich siwe mundury strzeleckie.

Pieśń żołnierska wzbija się z dymem ognisk ku niebu.

Za chwilą mamy wyruszyć z Krzeszowic ku granicy Królestwa.

Dzisiaj więc stanie się to, o czem marzenie — tak jeszcze niedawno zdawało się szaleństwem. Na samą myśl serce pod mundurem wali, jak młot.

Padł rozkaz z góry i rozpryskuje się na dziesiątki ostrych odłamków krótkich komend kompanijnych.

Ruchliwy dotąd wąż kolumny nagle zmartwiał — skamieniał na całej swej długości. Nowa komenda pada w ciszę.

Kolumna rusza.

Ku granicy!

Zmilkły żarty i gwary, nieodłączni towarzysze długich marszów wojennych.

Niekiedy tylko słyhać szept.

Maszerujemy poprzez mroki nocy w dal promienną. Ciemno, że o krok nie widać, a jednak kolumna posuwa się sprawnie, równo, uroczyście.

Wreszcie szept poszedł od pierwszych szeregów, jak szum wiatru po konarach drzew świt zwiastujący.

„Zbliżamy się!”

Kolumna staje. W ciemnej dali migają iskierki sygnałów świetlnych.

Serca wałą coraz mocniej. — Znów maszerujemy, aby za chwilę stanąć. I znowu marsz, i znowu krótki postój.

Pada ściszona komenda :

„Bagnet na broń!“

Z za wzgórz wypływa księżyc.

Od czoła kolumny przychodzi wieść-szept :

„Pierwsza czwórka wstępuje na mostek graniczny“.

Zegarek wskazuje godzinę dwunastą minut dwie.

Słychać na przedzie stuknięcie, po chwili drugie, trzecie i od-
tąd powtarza się ono miarowo w niedługich odstępach czasu.

Nasza kompanja (14-a IV Bat. 1 p. p.) zbliża się do mostku.

Chwyta coś za gardło i coraz silniej ściska. Idę tylko pod-
świadomie odruchami nóg, a zdaje mi się, że płynę wysoko wy-
niesiony ponad ziemię.

Głowy obnażają się.

Sąsiad mój wciska mi w rękę toporek. Uderzam nim po szcząt-
kach słupa granicznego i podaję dalej za siebie.

Spełniło się.

Bądź błogosławiona najświętsza Chwilo. Zachowam cię w ser-
cu, jak relikwję, do końca życia !

Bądź błogosławiony Wodzu, który mnie wiedziesz do Wol-
ności !

Pisane na b. podkomorku rosyjskim we wsi

Paczołtowicach dn. 12.VIII.1914 r.

MJR. HNH.KO.

ZE WSPOMNIEŃ O PUŁKOWNIKU ZIELIŃSKIM.

Pułkownik Zieliński miał zwyczaj rozmawiać z żołnierzami metodą sokratesowską. Oto jeden z tysiąca przykładów :

Rzecz dzieje się podczas odwrotu na Czerniowce z wiosną 1915 roku. Pewna kompanja 3 p. p. stanowi straż przednią grupy. Możliwe jest natarcie nieprzyjaciela z prawego boku. Sytuacja nieprzyjemna, zdenerwowanie duże.

Porucznik, zastępujący wówczas dowódcę bataljonu, jest przy kompanji i osobiście wydaje zarządzenia. Wydziela się szpicę, jedną parę łączników, drugą, trzecią, dziesiątą... nieomal pół kompanji już maszeruje parami.

Nadjeżdża pułkownik Zieliński. — Meldunek.

„Jakie pon mosz zadanie“ — pyta pułkownik.

Porucznik znowu melduje. — Słyszymy coś o ubezpieczeniu marszu, o sytuacji nieprzyjaciela i t. p. Pułkownik spokojnie kiwa głową.

„Pięknie. — A to, co to jest?“ — pyta, wskazując ręką.

„Łączniki ze szpicą, panie pułkowniku“.

„A dużoś ich pon narobil?“

„W tej chwili nie znam liczby, ale natychmiast..“

„Dej pon spokój, nie rachuj pon — już widzę. — A co oni mają robić?“

„Mają powtarzać znaki, dawane przez...“

„Dej pon spokój, nie panu nie powtórzą, bo nie będą wiedzieli, co się tam dzieje, a choćby i powtórzyli, to i tak na nie się to panu nie przyda, boś pon zadaleko. Krótko mówiąc, skróć pon tego węża. Kto pana uczył kilometry łączników wysyłać? A prawe ubezpieczenie pon wysłoleś?“

„Dotychczas nie, panie pułkowniku, ale...“

„Zaraz. — A co pon zrobisz, jak się tu panu na tej górze z prawej strony pokoże pięciu kozaków?“

Chwila myślenia. Porucznik obmyśla stosowne zarządzenia.

„No, nie myśl pon, ja panu powiem: uciekniesz pon z całym bataljonem“.

T. M.

ŻOŁNIERSKI SUCHAR.

Idą kompanje 2 p. p. Leg. czwórkami, dwudziesty trzeci kilometr tego dnia.

Drobnutki deszczyk.

Od dwóch dni jakoś kuchnie nas dogonić nie mogą, — głód.

W pierwszej czwórce „oficerskiej” prawoskrzydłowy wyjmuje kawał suchara z kieszeni i po długich usiłowaniach z niebezpieczeństwem zębów i dziąseł ugryza suchy kęs.

W tym momencie od tyłu kolumny ktoś miarowym krokiem dochodzi zwolna do czoła.

„Nie ruszaj pan gębą, bo żołnierze pomyślą, że pon isz” — mówi pułkownik Zieliński, nie patrząc nawet na tego, któremu udziela tej godnej Aleksandra Macedońskiego rady.

T. M.

„OBA KOMENDANTY“.

Pod Okörmezo w grudniu 1914 roku „dziadzio Zieliński“ spotkał nad rzeczką Nagy-Ag dwóch legunów.

A gdzie to panowie idziecie? — pyta żartobliwie pól serjo pułkownik.

Do praczki, — proszę pana pułkownika. — z bielizną!

A któż wam pozwolił?

My sami tak uchwalili w plutonie, bo wielki brud.

A meldowaliście komendantowi kompanji?

Nie, bo było daleko, panie pułkowniku.

No, a który z was jest komendantem?

My tu oba komendanty — mówią zupełnie serjo leguny.

„My tu oba komendanty“, była to najulubieńsza, najczęściej powtarzana anegdota pułkownika Zielińskiego

SYLWESTER STRZELCZYK-WYSOCKI.

LEGUNA I WŚCIEKLIZNA NIE CHWYTA.

Z końcem 1916 roku zostaliśmy, z bardzo dobrego obozu jeńców w Poszechoniu gub. jarosławskiej za różne nasze nielojalne postęпки wobec władz i przepisów obozowych dla jeńców, przeniesieni do obozu karnego w Usmaniu gub. tambowskiej. Tu „naczalstwo“ obozu zastosowało względem nas prawdziwy rygor niewoli.

Dolę i niedolę jeńca dzieliło ze mną kilku oficerów legjonowych jak Raganowicz, Orezykowski, Klimecki, Dańkowski, Degenstuck i kilkunastu oficerów armji austriackiej między niemi i Stanisław Imiela, któregośmy „wcielili“ do naszej kompanji legjonowej, prowadzącej oczywiście swoją własną politykę zarówno w stosunku do naszych dozorców jak i towarzyszy niedoli.

Stosunki w obozie nie były wesołe; trzymano nas ostro, medopuszczając do czytania polskich gazet i utrzymywania jakiegokolwiek łączności ze znajdującymi się w mieście kilku Polakami. Jednakże i wewnątrz obozu dawały się we znaki nieustanne tarcia panujące wśród nas, jeńców, na tle ustosunkowania się do orjentacji mocarstw centralnych, względnie ententy. Najczęstszy temat do nieporozumień dawali nam oficerowie Polacy z austriackiej armji, stale poruszając w dyskusji sprawę rozbicia Legjonów Polskich w kraju, wskutek niezłożenia przysięgi.

Dochodziły nas tylko głuche wieści o aresztowaniu i wywiezieniu Komendanta Piłsudskiego, o rozbrojeniu Legjonów, wreszcie o tworzeniu polskich oddziałów w łonie rosyjskiej armji. W tej niepewnej sytuacji, stało się koniecznością palącą, zasięgnięcie dokładnych wiadomości gdyż dłużej już bezczynnie my, legjoniści, siedzieć nie mogliśmy. Ponieważ zaś wszystkie wiadomości, jakie nas drogą pośrednią dochodziły, były bardzo mętne i niedokładne, nie dające żadnego oparcia, trzeba

było dotrzeć do źródła. Już nie wiem po której z kolei rozmowie z kolegami przyszliśmy do przekonania, że uciekać z obozu nie warto, gdyż udałoby się to najwyżej dwom, którzy i tak straciliby łączność z nami, pozostałych zaś naraziło by to tylko na jeszcze gorsze szykany co więcej marnieliby w dalszej nieświadomości.

Trzeba więc było obmyśleć plan legalnego wyjazdu z prawem powrotu do obozu. Podstawą planu tego mogła być jakaś chwilowa ciężka choroba, poddanie się operacji czy coś podobnego, by tylko się wydostać w ten sposób do Moskwy.

Okazało się jednak, że wszystkie choroby, nawet najcięższe, leczą na miejscu, zaś w wypadku poważnej operacji, naprzykład ślepej kiszki, wysyłają do szpitali w Tambowie lub Woroneżu. Ten temat zajmował nas przez kilkanaście dni, wreszcie wpadłem na chytry sposób wyprowadzenia w pole Moskali. Wertując różne przepisy znalazłem interesujący mnie punkt: „pokąsanego przez wściekłego psa należy natychmiast, pod konwojem, z zachowaniem wszystkich środków ostrożności, odesłać do zakładu Pasteur’a w Moskwie“.

Moskwa! Tam było przecież środowisko i polska centrala ruchu politycznego na emigracji, tam też niewątpliwie dowiem się wszystkiego. Trudno... wściekły pies musi się znaleźć, a ja pozwolę się przez niego pokąsać. Do planu mego wtajemniczyłem legionistów i naszego sympatyka, por. Imiełę. Plan został niebawem wprowadzony w czyn.

Wyjaśnić muszę, że wychodziliśmy kilka razy w tygodniu na spacer za miasto, oczywiście zawsze pod konwojem. Na ten raz wybraliśmy kierunek i drogę dobrze nam znaną, która nadawała się do wykonania naszego zamierzenia. Szliśmy z rozmyśłem grupkami, rozwleczeni na jakie pół kilometra. Dozorujący żołnierze rosyjscy jak zwykle bezmyślnie, kroczyli jedni obok nas drudzy za nami. W pewnym miejscu, gdzie wpobliżu znajdowały się groble oddaliłem się w bok w pole, po za groble, wymyślając jakiś powód nie wzbudzający podejrzeń. Ukrywszy się za groble, pośpiesznie naddarłem sobie w odpowiednim miejscu spodnie i z wielkim krzykiem wypadłem w stronę grupy spoczywających kolegów, wołając, by uciekali przed wściekłym psem, który mnie właśnie ugryzł w nogę.

Wtajemniczeni koledzy idą mi na rękę, podnosząc nieopisany hałas, a jeden z konwojentów udający przytomnego krobi nawet z karabinu do sobaki... jak Panu Bogu w okno, zapewnił nawet, że widział biegnącego psa wściekłego w kierunku grobli.

Za chwilę znaleźli się wszyscy przy mnie i z zaciekawieniem oglądali rozdartą nogawkę. Gdy jednak chcieli koniecznie obejrzyć „rany“, nie pozwoliłem na to, twierdząc, że najpierw oględzin musi dokonać specjalista doktor, — bo to przecież wścieklizna... Konwojenci wysłali naprzód jednego ze swoich, by zameldował o wypadku i sprowadził do obozu lekarza.

Było mi to nie na rękę, gdyż lękałem się, że lekarz może wcześniej niż my znaleźć się w obozie, a przecież moje ukąszenie jeszcze nie gotowe. To też po przyjeździe do obozu wpadam do pierwszego lepszego pokoju, na straży stawiam Raganowicza: Imieję, by nikogo nie wpuszczali, sam zaś zabieram się do robienia ukąszenia, posługując się, znalezionym na stole pilnikiem. Niestety jakoś mi to nie idzie, bo instrument ten tępy, biorę więc żyłkę kolegi, którą po goleniu nie zdążył schować i... trach nią cztery razy na krzyż po łydece. Dla niepoznaki zalałem skaleczone miejsce jodyną — i ukąszenie było gotowe...

Najwyższy czas, bo wchodzi „naczalstwo“ z prawdziwym... weterynarzem. Ten obejrzywszy nogę, pokiwał mocno głową, ja zaś z bólu głośno jęczałem. Tymczasem jednak na serjo z bólu, bo zaaplikował mi... końskie środki.

Najpierw ranę jeszcze raz mocno zajodynował, następnie, aby nie mieć wyrzutów, że mnie nieodpowiednio leczył, zalał ją jakowemiś żrącemi kwasami, tak, iż z bólu omal nie wściekłem się na prawdę. — Resztę kuracji odbędę w Moskwie, dokąd w myśl przepisów muszę zaraz jechać. Udaję z tego powodu wielkie zmartwienie, staram się tłumaczyć, że może to nie był wściekły pies, że to przejdzie... etc. Nic to nie pomaga — muszę wyjeżdżać. Ledwo zdążyłem z kolegami omówić sprawę i ułożyć plan działania w Moskwie, która, jak przypuszczaliśmy, stała się ośrodkiem życia politycznego Polaków jak i zaczątkiem konspiracji, mającej warunki już ułatwione przez bałagan, jaki rządy Kiereńskiego rozpętały, zaledwo zdążyłem zapakować swoje rzeczy w niezdatny tłumok, zjawił się już konwój z karabinem, przydzielony do eskortowania mnie. Poprowadzonno mnie na stację, skąd odjechałem do Moskwy!

Nie było rzeczy, którejbym swemu „opiekunowi“ nie proponował, by go zdobyć dla swoich planów. Wszystko jednak na nie, był niewzruszony. Później okazało się, że pochodził z pod Moskwy i różnicę dni wcześniejszego dostawienia mnie do szpitala chciał wykorzystać dla siebie. Mnie jednak zależało na tem, by mnie nie odstawiano zaraz do szpitala, chciałem bowiem mieć choć jeden dzień wolny, odnaleźć znajomych, nawiązać łączność, wreszcie

odszukać lekarza Polaka, któremu zwierzyłbym się z całej komedji i od którego uzyskałbym świadectwo, że nie grozi mi żadna wścieklizna.

Przyjechalismy do Moskwy w noc 30 kwietnia 1917 roku, to jest w przeddzień wielkich uroczystości, które miały się odbyć z powodu święta 1 maja, pierwszego maja „Wolnej Rosji“. Od mego konwojenta wydobyłem tylko tyle, że zgodził się mnie nie odstawiać do szpitala zaraz po przyjeździe, lecz dopiero na drugi dzień rano. Udalismy się przeto na poszukiwanie noclegu.

Niestety, mieszkającego w Moskwie mego przyjaciela księgarza p. Perzyńskiego nie zastalismy w domu, hotele zaś wszystkie były zajęte z powodu ogromnego zjazdu na uroczystości, tak, że mowy być nie mogło, by się w którymkolwiek z nich umieścić. Konwojent, zmęczony trzydniową podróżą i kilkugodzinnem szukaniem noclegu, uparł się, by mnie odstawić do szpitala. Musiałem pogodzić się z tem. Zajechalismy około godziny 1 w nocy do zakładu Pasteura, a ponieważ tam w nocy nie przyjmowano, trzeba było w korytarzach czekać do rana.

Tymczasem nowych pacjentów zjechało się bardzo wielu, gdyż na całą Rosję istniał tylko ten jeden zakład Pasteura, a że wypadków wścieklizny było bardzo dużo, frekwencja dochodziła do stu nowych pacjentów dziennie. Nie mogłem się jednak zgodzić na pomieszczenie mnie choćby chwilowe w korytarzu, na kamiennej posadzce, zrobiłem więc wielki raban, — protestowałem. Gdy przywołano siostry-pielęgniarki, zażądałem stanowczo właściwego traktowania, przynależnego oficerom w niewoli, cytując im z pamięci paragrafy Konwencji Haskiej. Wystąpienie moje odniosło ten skutek, że otrzymałem siennik i poduszkę, mogłem się więc jako tako wygodnie ułożyć na posłaniu, mój opiekun natomiast musiał spoczywać obok mnie na gołej posadzce. Leżąc, dla zabicia czasu, obserwuję siostry, które wciąż kręcą się to tu, to tam i są sobie wcale niczego. Rozpoczynamy rozmowę, lekki flirt i wnet zyskuję u nich przychylność. Oddało mi to później duże usługi, a nawet jeszcze tego samego dnia, gdyż dowiedziałem się, że będę badany przez naczelnego lekarza, który dopiero o godzinie 10.30 rozpoczyna urzędowanie. Wyprosiłem tedy u sióstr, by mnie zaraz o świcie wypuściły na miasto. Oczywiście musiałem im dać słowo honoru, że nie nadużyję ich zaufania, że nie ucieknę i że punktualnie o godzinie 10 i pół znajdę się w szpitalu.

Jak już wspomniałem, był to dzień 1 maja, pierwsze święto wolności w Rosji. Na ulicach panował niezwykle ruch, formowały się pochody ze sztandarami rewolucyjnymi, na czele jednego ta-

kiego pochodu zauważyłem jeńców Czechów i Madziarów z transparentami w różnych językach. Nie mogłem jednak sobie pozwolić na bliższe obserwowanie tych pochodów, gdyż pilno mi było znaleźć potrzebnego mi lekarza.

Napotkało to na ogromne trudności. Komitet polski był nieczynny, w prywatnych mieszkaniach nie zastałem ze znajomych nikogo, wszystko było na ulicach, wszyscy wzięli udział w pochodach i uroczystościach. Daremnie szukałem kogokolwiek ze swoich przez 2 godziny. Konwojent nalegał, by wracać, zagroził nawet użyciem siły; musiałem więc na dzisiaj zrezygnować.

Z opóźnieniem 20 minut wkroczyliśmy do zakładu Pasteur'a. Siostry były w strachu, gdyż naczelný lekarz czekał już tylko na mnie. Rozpoczyna się tragikomedja...

Przez trzy dni drogi nie zdejmowałem buta, chodzenie i mądra kuracja weterynarza spowodowały, że noga spuchła mi jak mała beczułka. Rana rozlała się — to też lekarz, oglądając ją, własnym oczom nie dowierzał. — Jak to! to to ma być rana od pokąsania??? Czegoś podobnego w życiu jeszcze nie spotkałem!!! Czuję, że wyspa gotowa — nie tracę jednak na fantazji, opowiadam mu wszystkie szczegóły wypadku, końską kurację lekarza usmańskiego, wyrażam nawet swoje oburzenie na nieumiejętne obchodzenie się w takich wypadkach prowincjonalnych „doktorów“, grożę skargą do wyższych władz i w podobny sposób staram się go zagadać. Koniec końców naczelný lekarz uspokaja mnie, czyta jeszcze raz przywieziony raport, gdyż ślady ukąszenia wydają mu się nieprawdopodobne, wyraża jednak swój żal, że nie zdołano owego psa zastrzelić, by przywieść jego głowę do zbadania. Wreszcie oznajmia mi, że jakby nie było, stosując się do raportu, który stwierdza, że rzeczywiście mnie wściekły pies pokąsał, przyjmuje mnie do szpitala i wyznacza przewidziana w tym wypadku kurację, to jest 11 zastrzyków wścieklizny, jako antidotum, z których pierwszy mają mi zaraz zaaplikować. Nie pomogły tu żadne perswazje i wykręcanie się — wyrok był bezapelacyjny i musiałem mu się poddać. Takim sposobem wstrzyknięto mi najniewinniej w świecie pierwszą dawkę wścieklizny. Następnie przydzielono mnie do wspólnego pokoju, przeznaczonego dla inteligencji. Zostałem tam między innymi dwóch popów i kilku akademików Rosjan.

Przyjęli mnie do kompanji bardzo zimno, jako, że zapisano mnie „eficer awstryjski“, a szowinizm wśród wszystkich Rosjan w te przełomowe dni był bardzo wielki. Mimo zmęczenia nie mogłem usnąć, gdyż złe myśli zaczęły mnie trapić — a nuż teraz, na

skutek wstrzykniętej wścieklizny naprawdę się wścieknę? Czy to wypada, ażeby wściec się na pierwszego maja?... Rozumiem kurację jako przeciwdziałanie, ale tak, bez powodu, to chyba musi wyrzucić odwrotny skutek... Bóg jednak łaskaw, legun zaś wiodcznie ma szczęście; choroba i wścieklizna jąć się go nie chciały. Doczekałem się tak rana a z nim powtórnej wizyty i zastrzyku, przyczem uzupełnić miałem przepisane formalności szpitalne. Ze względu, że zakład ten nie podlegał ochronie szpitalnej i nikt mnie właściwie nie pilnował prócz woźnych i pielęgniarek, chcieli mi zabrać mundur i prywatne rzeczy, a ubrać w szpitalny strój, aby mi odebrać wszelką możliwość ucieczki. Wynikła stąd gruba scysja, która zakończyła się kompromisowo na skutek interwencji naczelnego lekarza. Zostawiono mi po długich targach ubranie i bieliznę, zabrano natomiast płaszcz, czapkę i kalosze, przez co prawie zupełnie uniemożliwili mój zamiar występowania na zewnątrz. Reprezentowałem się jednak jako tako na terenie szpitala, i... nie mogę nie przyznać się, że miałem dość duże powodzenie u sióstr, a nawet u przełożonej.

Ją bowiem upatrzyłem sobie jako obiekt do zalecanek, a była to osoba okropna, tak z wyglądu zewnętrznego (ze względu na wypadek jaki miała z tramwajem, który najeżdżając ją, uszkodził solidnie jej kręgosłup, wykrzywiając go w kilka stron), jak i pod względem usposobienia. Była ona szczytem zgryźliwości, brzydoty, a przytem pełna energii tak, że cały zakład trząsł się na jej widok, wszystkich zdołała opanować i rządziła niepodzielnie porządkiem szpitalnym.

Na trzeci dzień mego pobytu, zdobywszy trochę względów przełożonej i wpoiwszy w nią przekonanie, że nie mam żadnego zamiaru uciekać, zacząłem czynić przygotowania do wycieczki na miasto. Siostry miałem tak dalece za sobą, że nie potrzebowałem się obawiać z ich strony żadnego skandalu. Zyskałem też wielkiego przyjaciela w osobie nowoprzybyłego pacjenta z Syberji. Sąsiedował ze mną, był weterynarzem, przyjechał na kurację jako pokąsany przez wściegłego konia.

Otóż, ten sąsiad okazał się bardzo miłym i dobrym człowiekiem, a gdy się dowiedział, że jestem Polakiem, stał się odrazu oddanym przyjacielem.

Opowiadał mi, że na Syberji, jeżeli trafi się dobry człowiek, to musi być napewno Polakiem. Twierdził, że całą kulturę Syberji zaprowadzili tylko Polacy; nie też dziwnego, że już w pierwszym dniu zawarliśmy zupełną sztafę.

Do zakładu naszego przylegał ogromny ogród szpitala umy-

słowo chorych. Ogród ten łączył się z inną ulicą. Za dnia obejrzałem cały teren dokładnie, niby interesując się obłąkanymi, a wieczorem, zaraz po kolacji, pokazawszy się siostróm i nagadawszy różnych grzeczności przełożonej, w pożyczonym od weterynarza płaszczu i czapce, zakradłem się do warjatów, a stamtąd przez bardzo wysoki parkan przedostałem się na ulicę. Przed wyjściem zaś, do spółki z moim przyjacielem, usłałem na łóżku kukłę, przykryłem ją szczelnie koldrą — tak, że siostry odwiedzające mnie przypuszczać musiały, że śpię, co zresztą sybirak dobrze za mnie symulował.

Wydostawszy się na ulicę, z łatwością przedostałem się do rożką do księgarni polskiej, gdzie oczekiwał mnie, poprzednio uwiadomiony o mojej bytności w Moskwie, p. Perzyński. Dzięki niemu, poznałem prawie całą Polonję tamtejszą. Tegoż samego jeszcze wieczora wprowadził mnie na zebranie polityczne wojskowych byłej armji carskiej. Tam dowiedziałem się mniej więcej dokładnych danych, co dzieje się w kraju i co oni zamierzają, tak więc z tej pierwszej mojej wycieczki wyniosłem dość poważne rezultaty. Trzeba było jednak wracać do szpitala, a to było już trudniej. Przedewszystkiem trudniej było z ulicy niezauważony przez nikogo sforsować wysoki parkan i prześlizgnąć się przez ogród szpitala umyślowo chorych, następnie dostać się na królikarnię zakładu i po nim wspiąć się do okna naszego pokoju. Wszystko ednak udało się; przyjaciel mój spisał się znakomicie, zostawiając okno tylko przymknięte: łatwo je odchyliłem i bez żadnego hałasu znalazłem się w pokoju, zrzuciwszy kukłę, ległem na jej miejscu. Usnąłem snem sprawiedliwych.

Dzień przeszedł jak zwykle, otrzymałem przepisową dawkę wścieklizny, odespałem zmarnowaną noc, poflirtowałem z siostrami, z weterynarzem sympatycznie politykowałem, a wieczorem powtórzyła się znów ta sama historia i t. d.

Nie zawsze jednak obeszło się bez skandalu. Z jednej takiej wycieczki wróciłem nieco zdenerwowany z powodu incydentu, który miałem w ogrodzie sąsiedniego budynku, gdzie, jak już wspomniałem, był szpital warjatów. Przy przechodzeniu przez 3 metry wysoki parkan miałem zajście z dwoma pacjentami, którzy nie mogę powiedzieć, by byli zupełnie głupi, choćby z tego względu, że w rękach jednego zostawiłem część spodni, a drugiemu mocno podbite oko. Na tem się jeszcze nie skończyło tej nocy; przy wchodzeniu do sali oknem, otwierając je z zewnątrz, zrzuciłem gąsior z mlekiem, który przez niewtajemniczoną siostrę postawiony na oknie, spadł i rozbił się. Zrobił się rumor, ale prze-

cież to była Rosja! Po zaplaceniu „forsy” i wstawienictwie mego sprzymierzeńca, uspokoiło się wszystko i nawet nie przeszkodziło dalszym „wypadom”. Kukła pełniła wiernie swoją rolę, a weterynarz asekurował resztę.

We dnie byłem bardzo solidnym pacjentem, a wieczorem tłu-
kłem się po Moskwie, bywałem w teatrze, lub brałem udział w po-
siedzeniach, na których często musialem zabierać głos, prostując
bardzo mylne, lub celowo błędne formułowane pojęcia o roli Le-
gjonów, zajętego przez nie stanowiska i naprowadzając na wła-
ściwe tory kierunek tworzących się oddziałów polskich na terenie
Rosji. W szpitalu byłem w stanie rekonwalescencji — w nieście
zaś, w początkach gwałtownej epidemii aktualnych dysput i po-
siedzeń. Chaos i zła wola, urazy i interesy osobiste, różnice w wy-
chowaniu i języku otoczenia — a wreszcie normalne mącenie wody
naszych działaczy partyjnych, w niektórych nawet wypadkach
wręcz szkodliwych sprawie Polski — składały się na dość ponury
obraz. Dlatego zakasawszy rękawy, zabrałem się do pracy całą
parą.

Nadspodziewanie zetknąłem się z legjonistami jeńcami. Tade-
uszem Teslarem i Stanisławem Thunem, którzy zbiegli z jakiegoś
obozu. Radość z naszego spotkania była ogromna.

Należy podkreślić, że przebywająca w Moskwie od kilku już
miesięcy grupa legjonistów jeńców, dzięki ogromnej inicjatywie
Tadeusza Teslara — wówczas noszącego pseudonim „Michała
Stankiewicza” — zdołała się zorganizować i przystąpiła do cięż-
kiej pracy konspiracyjnej. Pod pozorem opieki nad jeńcami Pola-
kami w Rosji — Teslar prowadził przy pomocy panny Elżbiety
Hulanickiej gorączkową akcję werbowania do „Związku Piłsud-
czyków” w Rosji co wybitniejszych legjonistów-jeńców. Ten oso-
bliwy „werbunek” opierał się właściwie na wykradaniu tych ofi-
cerów z rozmaitych obozów koncentracyjnych i przewożenia tych
jeńców do Moskwy, gdzie poruczano im szereg odpowiedzialnych
prac konspiracyjnych.

Oczywiście, że momentalnie zaciągnąłem się do pracy
w „Związku Piłsudczyków” — układając się z obywatelem Tesla-
rem co działać na przyszłość. Aby nie odbiegać zbyt od tematu
mego istotnego opowiadania — streszczam tylko w kilku słowach
działalność i osoby Związkiem Piłsudczyków w Moskwie kieru-
jące. — I tak, oprócz Teslara Tadeusza — popularnie zwanego
„obywatelem Michałem” — współpracę prowadzili ob. Jan Błotni-
cki, Stefan Benedykt, Marjan Turkowski, Maciej Bardel, Kazi-
mierz Nieć, Józef Szelać i inni, z którymi nawiązałem łączność

organizacyjną. „Związek Piłsudczyków“ przekształcony później na P. O. W. w Moskie — która odegrała z czasem wybitną rolę organizacyjną w konspiracji wojskowej w Rosji.

Nie miejsce tu jednak na opis tej działalności.

Tymczasem minęło 11 dni i kuracja moja skończyła się bez rezultatu, bo się nie wściekłem, a zatem powinienem wracać do obozu. Zaządzano z komendy miasta konwoju, któryby mnie zabrał. Komenda miasta jednak nie chciała jej dać, wychodząc z założenia, że obóz powinien przysłać własnych konwojentów. Rozpoczęła się „perepiska“, która na moje szczęście trwała cały tydzień. Tymczasem nie mając już obowiązku stawania na zastrzyki, korzystałem z pełni czasu, posuwając swoją ryzykowną śmiałość do tego, że i nawet w dzień biały wykradałem się z obozu. To się jednak nie spodobało memu przyjacielowi i wypłatał mi figla. Gdy jak zwykle zrebiwszy na noc kukłę, wyszedłem na miasto, przywołał siostry szpitalne do mego łóżka i oznajmił im, że zauważył u mnie podejrzane cechy wścieklizny, jak wodowstręt i gorączkę, żąda tedy, aby mnie natychmiast zbadano. Siostry oczywiście zaniepokojone przybliżają się do łóżka, widząc jednak, że śpię spokojnie, nie chciały mnie budzić, weterynarz jednak żądał stanowczo zaopiekowania się mną, wówczas odważniejsza z nich podeszła do łóżka, podniosła koldrę i... usiadła z przerażenia na łóżku weterynarza; o mało nie zemdląła... wszystko się wydało. Teraz dopiero zrozumiały mój „twardy“ sen. Ze strachu chciały dać zaraz znać do komendy, by wysłano za mną patrol. przyjaciel mój jednak uspokoił je i zapewnił, że wrócę, bo to przecież nie pierwszy raz. Biedaczki nie spały całą noc. Co pewien czas zaglądały czy już jestem, a ja tymczasem wróciłem dopiero o 5-ej rano. Dużo mnie kosztowało miłych słówek, nim je przebłagałem, za karę jednak musiałem jednak już następny wieczór poświęcić im. Zaprosiły mnie do swego szpitalnego mieszkania, zresztą bardzo miłego, gdzie mnie serdecznie przyjęły i ugościły...

Materiału i potrzebnych mi wiadomości nabierałem w ostatnich dniach dużo, tak, że miałem już z czem do obozu wracać. Mimo to niemile zaskoczyła mnie wiadomość pewnego wieczoru, że mam się zaraz pakować, gdyż konwój z obozu przyjechał już po mnie. Jak to, tak nagle wyjeżdżać — przecież się nie pali — utro też zdążę — temwięcej, że na dziś akurat mam już od artystki dramatycznej p. Marji Mirskiej bilety do teatru Polskiego w Moskie. Nie, dziś absolutnie nie wyjadę; udałem się razem z siostrami do przełożonej, by zmienić polecenie, lecz o dziwo, zastałszy ją wściekłą, nie dopuściła mnie wcale do słowa i wymyślała

mi od lisów, udających jagniątko, „rugając“ mnie prawdziwie po rosyjsku. Oświadczyła mi, że wiedziała już od kilku dni o moich „wyłazkach“, lecz nie miała możliwości przeszkodzić im, dlatego też nie zgodziła się dłużej mnie trzymać w szpitalu ani minuty, chce się už raz pozbyć tej odpowiedzialności. Nie było rady, interwencja sióstr skrupiła się na nich, wyszliśmy jak zmyci. Gdy pakując rzeczy, rozmawiałem z konwojentem, by go sobie zjednać, nie zauważyłem nowego przybysza oficera rosyjskiego w naszym pokoju. Po chwili przystąpił on do mnie i spytał mnie po polsku o co tu właściwie chodzi. Skoro wytłumaczyłem mu całą sprawę, pocieszył mnie, aby się nie martwić, gryź on coś zaradzi. Pożegnawszy się więc czule z siostrami i pielęgniarką, bardzo serdecznie z weterynarzem, znaleźliśmy się z owym oficerem rosyjskim na ulicy przed bramą zakładu i rozpoczęliśmy naradę wojenną. Po chwili mój nowy przyjaciel, jak się okazało Polak, podchorąży, wyjął z kieszeni rewolwer, najspokojniej go naładował i zwrócił się do konwojującego mnie żołnierza : „widzisz ten rewolwer, gdyby ten awstryjec zechciał uciec, zastrzelę go, jak psa, tymczasem ty bierz kufer i maszeruj na stację, tam nas oczekuj, tylko pilnuj dobrze kuferka, by ci go nie ukradli“.

Dałem żołnierzowi 5 rubli na życie, poczem pomaszerował on na stację, my zaś poszliśmy do teatru; następnie miałem jeszcze kilka spotkań, tak, że dopiero nad ranem przyjechaliśmy na stację, gdzie oczywiście konwojenta zastaliśmy śpiącego na kuferku, jednakże już bez karabinu, gdyż ktoś zdążył mu go już ukraść. Ponieważ pociąg odchodził dopiero za trzy godziny, mój towarzysz pożegnał mnie, życząc jak najszybszego zobaczenia się w formacjach polskich, do których i on zaraz po kuracji się wybierał. Siedząc tak sam na stacji i popijając herbatę, zauważyłem przy jednym stoliku kilku oficerów rosyjskich, rozmawiających po polsku, niewiele myśląc podszedłem do nich i przedstawiłem się im. Okazało się, że byli to oficerowie z 1 pułku polskiego, załogującego w Białogrodzie.

Przyjęli mnie do towarzystwa, a gdy im opowiedziałem swoją historję pocieszną ze wściekłym psem i cel mego pobytu, nie puścili mnie już; musiałem z nimi wracać do Moskwy. Będąc już zupełnie swobodny i nieczem nie krępowany pod tak dobrą opieką, załatwiłem jeszcze kilka spraw, między innemi wydebilem w konsulaście duńskim dla kolegów masę bielizny, książek, a nawet i coś gotówki.

Miałem tedy możność zaznajomienia się z zaczątkami już istniejących formacyj polskich. Dopiero po dwóch dniach odpro-

wadzili mnie na stację owi towarzysze, chcąc mnie odrazu „zafasować“ do swego pułku. Nie mogłem jednak tego uczynić ze względu na moich kolegów, czekających w obozie jeńców z najwyższym napięciem. Wszakże musiałem podzielić się z nimi nie tylko zdobytymi wiadomościami, ale i uzyskanymi darami, wreszcie, co najważniejsze, ustalić z nimi plan dalszego działania, dążący do jak najszybszego wydostania się z obozu do powstających formacji polskich. W tem mieli nam dopomóc poznani oficerowie, którzy zdecydowani byli, by nas poprostu wykraść. Daremnie jednak czekaliśmy kilkanaście tygodni, aż wreszcie znudzeni, zorganizowaliśmy na własną rękę ucieczkę i to odrazu w sile 8 ludzi z podstawionym konwojem. Udało na to się świetnie, dzięki skutecznej pomocy oficerów czeskich. Po kilku dniach wędrówki i jazdy koleją dotarliśmy do Smoleńska, a stamtąd do Jelni, gdzie formowała się 3-a polska dywizja.

Pierwszą naszą czynnością w dywizji było odpolszczenie jej, gdyż wszystko było tam prowadzone w języku rosyjskim. Wyjeżdżałem tedy często do Moskwy, jako zakonspirowany peowiak, gdzie zgodnie z powziętym planem w Związku Piłsudczyków wprowadziliśmy w czyn rozmaite konieczne, ryzykanckie zamysły obywatela Teslarsa.

ODEZWA

OBYWATELE !

Cieszymy się ogromnie, że nasz apel poprzedni o nadsyłanie nam materiału do druku, ze wszystkich stron Polski, a nawet w daleką zagranicę losami skierowani Leguny, przyczynili się ogromnie przez nadesłanie rękopisów, do upamiętnienia tych na-
pozór nieznaczących epizodów, które jednak zebrane w całość, wydały na początek wcale pokaźny i interesujący zbiór przeżyć !

A w przyszłości, przy Waszej nie leniwej pomocy — wydadzą jeszcze większy ?

Jesteśmy przekonani, że wielu z Was, po przeczytaniu *Gawęd*, przypomni sobie wiele z swych przeżyć, które, być może, będą więcej interesujące i ciekawe ?

Także wielu z Was teraz dopiero dowiedziało się o naszym zamierzeniu, częściowo już wprowadzonym w czyn przez wydanie tego wydania ?

Ponownie zwracamy się do Was wszystkich o nadsyłanie opisów, w tym sensie, które dopiero co przeczytaliście. Ze względu, że w krótkim czasie *przystępujemy do ponownego wydania *Gawęd** !

Pomóście nam walczyć z największym wrogiem pamięci, a mistrzem zapomnienia — czasem, — i *lkajcie przytem złotemi zgłoskami, sami swą historję przeżyć Legunowych*. — Mając na uwadze dalsze wydawanie *Gawęd w formie stałego czasopisma* — zwracamy się do wszystkich Kolegów z uprzejmą prośbą, którym idea Legunowa jest drogą, o zasilanie redakcji nadal swemi cennymi rękopisami, zwłaszcza wspomnień, przeżyć, opowiadań, różnych anegdot i in.

Prosimy o korespondencje w sprawach aktualnych, dotyczących b. Legunów, z przejawów ich życia społecznego, które nadać będą odpowiedni charakter pismu.

Prosimy zwłaszcza tych Kolegów, którzy są nadal w armji, a których rękopisy nadsyłane przez nich, będą przez redakcję naszą wysoce respektowane i cenione.

Prosimy o łaskawą współpracę Kolegów dla *Gawęd* w charakterze korespondentów stałych ze wszystkich stron kraju i zagranicy. W tym celu prosimy porozumieć się z redakcją, celem szczegółowego określenia zakresu ich działania na odnośnym terenie.

Za Komitet Redakcyjny :

MIGUŁA LEON

UWAGA: Egzemplarze „Gawędy Legionów między sobą” są do nabycia w Redakcji w cenie zł. 3— za uprzedniem nadstaniem gotówki lub uskutecznionej wpłaty na konto P. K. O. Nr. 63144.



— Obywatelu poruczniku melduję posłusznie, przyszedł jakiś i mówi, że ma list do naszego ob. Pułkownika, ale mi się widzi, że to albo żyd, albo śpieg, bo rudy je i oczy ma w świder, tak jakiś eufemia, że ażę mdli!...

SPIS RZECZY:

1. *Zamiast wstępu* — raport — „Gnom” Miguła Leon.
2. *Garędy legunów między sobą* — „Gnom” Miguła Leon.
3. *Młodszym od nas...* — Gruber Henryk.
4. *Więzień z Huszt i Marmaros-Sziget* — Górccki Roman.
5. *Wspomnienia (obrazki)* — Boerner Ignacy.
6. *Rozstanie* — Greszel Eugenjusz.
7. *Wicher polny poniósł pieśń...* — Greszel Eugenjusz.
8. *Myśl leguna z pod Tatr w słowie* — Ostafin Zygmunt.
9. *Jak cesarz na wspólny koszt z relutnem jechał* — Hirszel Zygmunt St.
10. *Jako stselci bez peronen is mieli, i jako wej przešli...* — Ostafin Zygmunt.
11. *Wisielec Pierwszej Brygady, wsp. leg. o Adolfie Neuroert-Nowaczyńskim.*
12. *Dwa fragmenty z pamiętnika* — Hirszel Zygmunt St.
13. *Leguna i wścieklizna nie chwyta...* — Strzelczyk-Wysocki Sylwester.
14. *Ze wspomnień o plk. Zielińskim* — Hnilko A.
15. *„Oba komendanty”* — T. M.
16. *„Żołnierski suchar”* — T. M.

SPIS RZECZY, POZOSTAŁYCH W TECE REDAKCYJNEJ.

1. *IV Brygada* — Nieznany autor.
- *) 2. *List leguna górala do swoich „dzieuch”* — Ostafin Zygmunt.
3. *Wyliż żemi bido żyć...* — Ostafin Zygmunt.
4. *Przemówienie leguna w Zakopanem dnia 1.XI.1926* — Ostafin Zygmunt.
5. *Przemówienie leguna w Zakopanem dnia 29.XI.1926.* — Ostafin Zygmunt.
- *) 6. *Przygoda ułana* — Hirszel Zygmunt St.
- *) 7. *Fasunek rumu* — Hirszel Zygmunt St.
8. *Wesołe i smutne przygody na froncie leguna Mgaly* — „Gnom”.

9. Śmierć (szkic) — Popiołek Zygmunt.
10. Buty (opowiadanie legjonisty) — Popiołek Zygmunt.
11. Wojna (szkic) — Popiołek Zygmunt.
12. Piosenka z Łomży — „Kamedul”.
15. Legjonista i endek — Gralewski Stefan.
14. Mowa Marszałka Piłsudskiego (Tramestacja) — „Z Wilna”.
15. Noc Sylwestrowa (nowelka) — Węcowska Marja, Poznań.
16. Garwędzom do rozpatrzenia i... wyrzucenia — Szwaaja Z., Sosnowiec.
17. Nasermater (piosenka) — Kowalski Adam, Grodno.
- *) 18. Nasze Jagiellony (piosenka) — Kowalski Adam, Grodno.
- *) 19. Marsz strzelców rzeszowskich (piosenka) — Kowalski Adam, Grodno.
- *) 20. Co strzelcy zrobić potrafią — Kowalski Adam, Grodno.
- *) 21. Strzelcy w rezerwie — Kowalski Adam, Grodno.
- *) 22. Piosenka o warszawskiej gospodzie — Kowalski Adam, Grodno.
- *) 23. Hymn treniarzy — Kowalski Adam, Grodno.
- *) 24. Romans relutona (piosenka) — Kowalski Adam, Grodno.
- *) 25 P. K. P. (piosenka) — Kowalski Adam, Grodno.
- *) 26. Krakowiaki ex relutonów — Kowalski Adam, Grodno.
- *) 27. Jak się leguny dostały do nieba (piosenka) — Kowalski Adam, Grodno.
- *) 28. Miała matka trzech synów (piosenka) — Kowalski Adam, Grodno.
29. Zaduszki — Ostafin Zygmunt.
- *) 30. Trzej legioniści (z pamiętnika leguna z I Brygady) — Kowalczyk Wojciech.
- *) 31. Kriegsmatura leguna w Widniu — Śmiechowski Br.
32. Z dni chmurnych i górnych (wspomnienia) — Fichna Bolesław.
- *) 33. Tarapaty leguna z II Brygady (wspomnienia z własnych przeżyć) — Pietrzak Stanisław.
- *) 34. Rok 1914—1920 (wiersze) — Karpiński Bolesław, Leszno.
- *) 35. Ostatnia pieśń — Rudy Marjan, Król Huta.
- *) 36. Wspomnienia z baterji szkolnej w Wiedniu — Rudy Marjan, Król. Huta.
- *) 37. Fragmenty wspomnień 1914—1918 — Roman Woynicz-Horoszkievicz.
- *) 38. Na krańcach bytu i niebytu (prolog) — T. T.
39. Tam za kupkami... — Nieznany autor.
- *) 40. Marsz Piłsudskiego — Jadwiga Oberg-Salecka.

*) 41. „Rapsod“ ku czci Komendanta — Gwido Trzymdar-Rakowski.

*) 42. Zamach i zdobycz 200.000 kr. przez Peowiaków w Garbowie 1918 — opisał Karkocha.

UWAGA: Rękopisów i fotografii o ile nie zastrzeżone, Redakcja nie zwraca.

Za Komitet Redakcyjny:

(—) MIGUŁA LEON.

Warszawa, sierpień 1929 r.

*) Z materiałów wyżej wymienionych, zostaną umieszczone w tomie II-gim Garbów, oznaczone gwiazdkami. Z pozostałych, będziemy się starać, (o ile autorzy się zgodzą?!) Wyluskać, to, co dla garbów będzie miało jaką wartość i w następnych numerach w miarę posiadanego miejsca — umieścić.

REDAKCJA.

